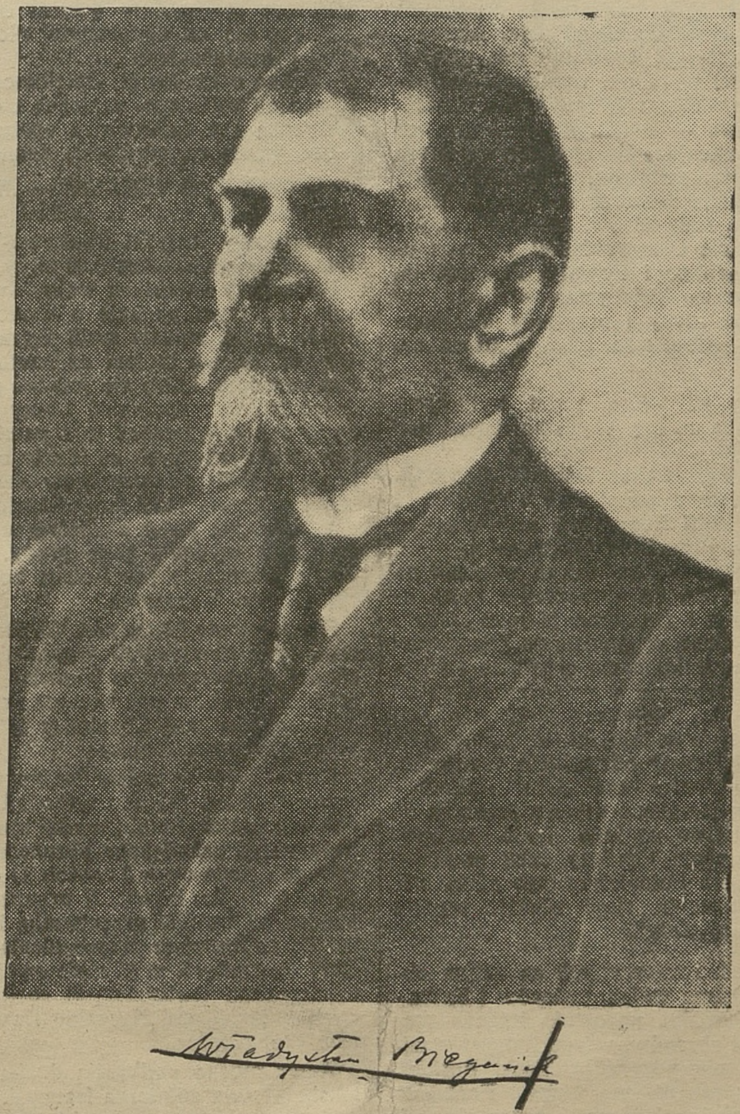
Cena 35 groszy

ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK
wydawany staraniem Samopomocy Męskich Szkół Średnich w Częstochowie.

ROK V. CZĘSTOCHOWA, KWIECIEŃ 1931 ROK. Nr. 7 (34).



CO CZYTAĆ.

ZAGOŃCZYK, powieść historyczna, F. A. Ossendowskiego. Książnica - Atlas 1931. Autor powieści „Pod polską banderą" i „Wańko z Lisowa" przeprowadził staranne studja nad panowaniem króla Zygmunta III, ogarniając nietylko wiernie tło historyczne, lecz język epoki i stronę obyczajową. Wszystkie te walory posiada nowa powieść Ossendowskiego „Zagończyk", w której czytelnik znajdzie dokładny i nieraz porywający obraz nurtujących naród polski intryg Habsburgów, wrzucających wojsko polskie na walkę z reformacją kościoła w Cesarstwie. Bohaterem tej epopei była lekka jazda, stworzona przez głównego, awanturniczego pułk. Aleksandra Józefa Lisowskiego, czyli tak zw. „lisowczyki". W powieści wyraźnie występuje już roz dźwięk w tem wojsku walecznem do szaleństwa a niesfornem, — podstępna polityka austrjacka — i powracająca do opamiętania dusza awanturniczych wojowników. Ośrodek całej akcji stanowią dzieje młodego rotmistrza, należącego do starego rodu Lisów, których przodek brał udział w bitwie Grunwaldzkiej ,walcząc obok Zawiszy Czarnego i Powały. Powieść ta, ilustrująca wiernie tło historyczne, obfituje w żywe, porywające sceny i przygody dzielnego „zagończyka" — rotmistrza Lisa, a czyta się jednym tchem.

Wyszła książka, na którą radzi bylibyśmy zwrócić baczniejszą uwagę. Wydawnictwem tem jest:

Adam Mickiewicz. ODA DO MŁODOŚCI. Deklamacja chóralna w połączeniu z rytmiką i plastyką, układu Zofji Nożyńskiej oraz muzyką i śpiewem, układu Franciszki Chilewskiej.

Wspaniały utwór Mickiewicza ze względu na swój patos nadaje się do inscenizacji, która uwydatnia siłę, rytm i znaczenie ideowe „Ody". Próbę taką poczyniono w gimnazjum SS. Urszulanek w Poznaniu. Deklamacja zbiorowa i pojedyńcza „Ody" odbywa się w połączeniu z rytmiką, plastyką, muzyką i śpiewem. Książka p. Nożyńskiej szczegółowo podaje, jak to należy urządzić. Poszczególne sceny odtwarzają fotografje. Wrażenie tak zainscenizowanej „Ody" jest wielkie, głębokie, a zrozumienie utworu przenika umysły mniej wrażliwe na jego treść ideową. Praca godna polecenia i należy tutaj podnieść wielką zasługę Koła Polonistycznego gimn. SS. Urszulanek w Poznaniu, skąd właśnie wyszła inicjatywa wydania „Ody".

— W kościołach, rozrzuconych na całym obszarze Polski, pomimo wojen, pożarów i barbarzyństwa obrazoburców, pozostało jeszcze sporo godnych uwagi obrazów, wśród których znajdują się przeważnie wizerunki Matki Boskiej, której kult był u nas zawsze żywy. Pochodzą one z różnych epok i malowane są przez różnych artystów.

Ikonografją Matki Boskiej w Polsce zajął się dr. Mieczysław Skrudlik i w szeregu ciekawych szkiców, ukazujących się w książce p. t. **„Królowa Korony Polskiej"**, zdał sprawę z wyniku swoich w tym kierunku poszukiwań i badań.

Książka, obejmująca historję sztuki kościelnej w Polsce, tłumaczy na szeregu przykładów, zilustrowanych blisko stu wizerunkami Najświętszej Panienki, jak to na przestrzeni długich wieków ścierały się ze sobą u nas dwie kultury: łacińska i bizantyjska i jakie w sztuce naszej pozostawiły one ślady.

Dr. Skrudlik robi między in. ciekawą uwagę, iż w malarstwie polskiem brak typu Madonny renesansowej ,i że od typu gotyckiego i bizantyjskiego przeszliśmy odrazu do baroku, wzorującego się na malarstwie włoskiem, francuskiem i hiszpańskiem.

Książką o Królowej, Opiekunce i Orędowniczce narodu polskiego, napisaną z dużą wiedzą artystyczną i z całkowitem opanowaniem przedmiotu, warto się specjalnie zainteresować.

„BITWA POD VERDUN" — Marszałek Petain. Przełożył mjr. dypl. E. Quirini.

Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy — Warszawa, 1931. Cena 5.80 zł. w oprawie 9.50 zł.

Straszliwy kataklizm wojny światowej w jego kulminacyjnym punkcie o dantejskich scenach piekła walki, znalazł swój wyraz w bitwie pod Verdun. Nazwa ta jest aż nadto znana wszystkim narodom, które się jeszcze nie otrząsnęły z koszmarnych wspomnień wojny i nie prędko będą w stanie wymazać je z pamięci. Przywołuje ona cienie poległych za ideały cywilizacji i staje się symbolem i pomnikiem niezwykłej siły ducha i genjusza rasy francuskiej.

Verdun, jak autor zaznacza w przedmowie do polskiego wydania jego pracy, powstrzymała hordy niemieckie jak Polska bolszewickie w r. 1920 r. pod Warszawą.

Niewątpliwie bitwa pod Verdun należy do szeregu tych dziejowych wypadków, jak zwycięstwo i powstrzymanie Hunnów na polach katalońskich, Arabów pod Poitiers przez Karola Martela, Turków pod Chocimem i Wiedniem i bolszewików przez Polskę.

Dowodzący w czasie wojny frontem środkowym, w skład którego wchodziła twierdza Verdun, marszałek Petain wydał studjum wojskowo historyczne poświęcone obrońcom Verdun'u. Praca jego składa się z 3 części: 1) działania wstępne na początku bitwy, 2) organizacja obrony, 3) ostateczne wysiłki przeciwnika i odwet francuski. Są to osobiste wspomnienia i wrażenia z walk stoczonych w obronie swej twierdzy wraz z szeregiem ważniejszych rozkazów, wydawanych przez niego, Naczelne Dowództwo francuskie i niemieckie.

Autor mocno podkreśla ducha nieustępliwości i bohaterstwa żołnierza francuskiego i niezłomną wolę zwycięstwa u dowództwa.

Stwierdza wreszcie całkowite zużycie się materjalne i moralne Niemców.

Mówiąc o żołnierzu, składa hołd nietylko bojowemu lecz i pełniącemu funkcje pomocnicze.

ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK
wydawany staraniem Samopomocy Męskich Szkół Średnich w Częstochowie.

ROK V. CZĘSTOCHOWA, KWIECIEŃ 1931 ROK. Nr. 7 (34).

Dr. Władysław Biegański.

„Nie było tam poprawek, przeróbek, przestawień, bo myśl twórcy pracowała przez cały dzień bez przestanku.

W drodze, od jednego pacjenta do drugiego, w dorożce, na wozie chłopskim, lub w wagonie, dawał wodze swym myślom i przygotowywał materjał dla pracy wieczornej".

(Dr. K. Rożkowski).

Nazwisko Dr. Władysława Biegańskiego jest nierozłącznie związane z Częstochową, w której mieszkał przez 30-ci z górą lat i w której powstały wszystkie jego prace.

Wielu z nas wie o tem, że Biegański był znakomitym lekarzem, niektórzy widzieli tablicę na jednym z domów Częstochowy z napisem: „W tym domu żył i pracował Dr. Władysław Biegański znakomity lekarz i filozof", niektórzy może znają jego podręcznik logiki, ale niewielu wie jak On żył i jak On pracował.

Władysław Biegański urodził się 27 kwietnia 1857 roku w Grabowie w Poznańskiem.

Od najmłodszych lat odznaczał się jakąś przedwczesną powagą, zamiłowaniem samotności i wielkiem upodobaniem do książek.

Lubił dalekie i długie, a samotne przechadzki w czasie których głośno ze sobą rozmawiał.

Przechadzki te, głośne monologi, jakoteż inne cechy różniące go od reszty rówieśników sprawiły, iż mówiono o nim do ojca „Pański syn, albo zwarjuje, albo będzie wielkim człowiekiem".

O swych latach szkolnych pisze sam Biegański: „Od roku 1867 zacząłem uczęszczać do gimnazjum. Umysłowo rozwijałem się powoli. W drugiej klasie do której odrazu wstąpiłem przesiedziałem dwa lata, później przechodziłem co rok z klasy do klasy, ale początkowo byłem zawsze tylko uczniem średnim. Pamiętam, że jeszcze w V klasie nie mogłem żadną miarą zrozumieć z łaciny przemiany gerundium na gerundivum. Dopiero od VI klasy zacząłem się szybko rozwijać, a w VIII byłem już pierwszym uczniem".

Z przedmiotów szkolnych lubił Biegański specjalnie geografję, którą znał świetnie, nie było miasta i miasteczka w Polsce, o któremby nie słyszał i o którem nie umiał czegoś powiedzieć; większe także zamiłowanie miał do historji, do matematyki natomiast nie zdradzał specjalnych zdolności, naukami przyrodniczemi zainteresował się żywiej dopiero w klasie VI-ej.

W klasach starszych pod wpływem ówczesnych prądów, które za hasło swe postawiły „Pracujmy i uczmy się", wraz z kolegami, jak sam pisze: „całemi wieczorami toczyliśmy bardzo uczone i niezmiernie gorączkowe dysputy: o wierze i o rozumie, o pochodzeniu człowieka, o przystosowaniu i dziedziczności, o prawie zachowania sił i t. p. Zdarzało się, że po takich do późnej nocy trwających dysputach wracałem cichaczem do domu z rozgorączkowaną głową, z ochrypłym od przemówienia głosem i zasypiałem ze słodkiem marzeniem, że kiedyś będę bardzo, a bardzo pracował, aby się stać polskim Darwinem lub Helmholtzem".

W klasie VII był Biegański twórcą i organizatorem uczniowskich kółek samokształceniowych, sam przygotowywał referaty, sam je wygłaszał i sam wskazywał kierunek pracy.

W roku 1875-tym ukończył gimnazjum i zapisał się na wydział lekarski.

Na roku 1-szym i 2-gim pracował gorliwie, ucząc się równocześnie obok przedmiotów obowiązkowych języka niemieckiego, który opanował w zupełności.

Na trzecim roku zniechęcił się do medycyny, a zajął się filozofją; pisze także w tym roku kilka rozpraw o literaturze polskiej.

Na roku piątym studjów medycznych w dalszym ciągu interesuje się głównie filozofją — pisze nawet rozprawę, za którą otrzymuje zaszczytną wzmiankę.

Wreszcie zdaje końcowe egzamina z wynikiem dostatecznym.

W ciągu studjów wiele troski sprawiało Biegańskiemu jego zdrowie i obawa przed gruźlicą, do której uważał, że ma specjalną skłonność.

Drugą troską były sprawy finansowe, ciężkie bowiem położenie materjalne rodziny, zmuszało go często do zarobkowania na swe utrzymanie.

Może więc warunki studjów, a może i usposobienie wpłynęły na to, że uśmiech rzadko gościł na jego twarzy, nie było u niego tej beztroskiej młodzieńczej wesołości, a na obliczu przedwczesna malowała się powaga.

Lubił Biegański teatr, lubił gawędę w gronie dobrych przyjaciół, uprawiał politykę ,ale tylko platonicznie, dużo czytał jak prozy tak i poezji, ale najwięcej czasu zajmowała mu praca naukowa, pomimo swej wiedzy nie był jednak próżny i szalenie np. nie lubił, gdy go tytułowano za lat studenckich p. doktorem.

Po ukończeniu studjów ze względów materjalnych, chociaż bardzo niechętnie, decyduje się na objęcie posady w głębi Rosji.

Tu styka się z chorymi, a widząc często swą bezradność w obliczu choroby rozpoczyna się uczyć, pogłębiać wiadomości dawne i zdobywać nowe.

Praca, praca i praca.

Okres ten opisuje p. Biegańska: „...dni całe spędzał na wsiach, gdzie ludność z małemi wyjątkami leżała pokotem na tyfus plamisty. Chodził od chaty do chaty, badał szczegółowo chorych, pocieszał ich, rozmawiał z nimi. Godzinami siadywał w brudnych zatęchłych izbach, palił papierosa za papierosem i myślał, myślał bez końca.

Pobyt w Rosji trwał dwa lata.

Wraca teraz na zachód, i udaje się w celu uzupełnienia studjów medycznych do Berlina ,a stamtąd do Pragi, gdzie stosunki ułożyły się dla niego znacznie przyjemniej i milej niżeli w Berlinie.

„Wbiły mu się w pamięć — pisze p. Biegańska — „zasadnicze rysy czeskiego charakteru narodowego: zaradność życiowa, mądrość polityczna i rozumna, potężna w skutkach oszczędność.

W pierwszych dniach października 1883 r. wraca do kraju i osiedla się w Częstochowie obejmując tu stanowisko lekarza szpitalnego, które sprawuje przez 12 lat.

Na początku 1885 r. Biegański ożenił się. Lata pobytu w Częstochowie, którą opuszczał rzadko i na krótko, to lata wytężonej pracy lekarskiej, lata pracy filozoficznej i pisarskiej.

Powstają 2 podręczniki medyczne o b. wysokiej wartości, niezliczona ilość artykułów lekarskich, szereg prac filozoficznych, oraz „Myśli i aforyzmy o etyce lekarskiej"—ten dekalog medyczny który znać powinien nietylko każdy lekarz, czy student medycyny, ale każdy inteligent.

Biegański spędził 32 lata swego pracowitego (pracował od 8-ej rano do 1-ej wieczór, a nawet często znacznie później) życia w Częstochowie, wywierając swym przykładem i pracami wielki wpływ na lekarzy prowincjonalnych, którym wykazał, że można być na prowincji pracować zawodowo, a obok tego nie zaniedbywać i pracy naukowej.

Działalność jego jest bardzo ożywiona: zakłada w roku 1901 Towarzystwo Lekarskie w Częstochowie (jedno z pierwszych w Polsce), piastuje przez parę lat godność prezesa T-wa Dobroczynności, a do końca życia pełni obo-

wiązki prezesa Częstochowskiego Oddziału T-wa Krajoznawczego. W roku 1915-tym prowadzi wykłady logiki w gimnazjum męskiem (obecnem gimn. im. H. Sienkiewicza).

Nie będę tu wyliczał i opisywał wszystkich prac Biegańskiego, gdyż ciekawy czytelnik znajdzie to wszystko w książce p. Mieczysławy Biegańskiej p. t. „Władysław Biegański życie i praca", w książce, którą się czyta z szalonem zainteresowaniem, gdyż widzimy w niem życie nieprzeciętnego człowieka przedstawione przez osobę, która z nim ciągle obcowała.

Główną uwagę chciałem zwrócić na młode Biegańskiego lata i pewne cechy jego indywidualności.

Jedną z tych cech jest kult pracy — pracy wytężonej i intensywnej, pracy ciągłej. Biegański aż do śmierci został wierny hasłom swej młodości, które głosiły: „Uczmy się i pracujmy".

Pracował i zawsze i wszędzie się uczył; osoby postronne słuchając jego poglądów na życie, i patrząc na to życie mówiły: „Ależ panie doktorze, przecież życie to nie katorga".

Drugą b. ważną cechą, która wyróżnia dr. Biegańskiego od wielu innych jest obowiązkowość. „Obowiązkowość" — pisze p. Biegańska — „zaliczał do najważniejszych cnót ludzkich i stąd też podnosił wysoko małe powszednie ideały, czyny zwykłe codzienne; zawsze powtarzał, że stokroć łatwiej zdobyć się raz lub dwa na czyn bohaterski, aniżeli życie całe w uczciwej codziennej pracy przeżyć".

Z tem poczuciem obowiązkowości łączy się wielka skromność, określił ją w aforyzmach „Człowiek prawdziwie wykształcony pojmuje, że wiedza jego wobec tego co wiedzieć powinien jest małym strumykiem wobec oceanu, małym kręgiem światła wobec niezmierzonych ciemności, prawdziwa więc wiedza prowadzi zawsze do skromności, a zarozumiałość stoi w odwrotnym stosunku do wiedzy".

Dr. Biegański był w pierwszym rzędzie człowiekiem nauki, (świadczą o tem liczne prace), ale obok tego b. żywo interesował się sprawami społecznemi, co również starałem się podkreślić, mówiąc o roli Biegańskiego, jako lekarza — nauczyciela — wychowawcy.

Politykę uprawiał tylko platonicznie, nie biorąc w niej czynnego udziału, o wypadkach toczących się w tym czasie, pisze w swej ostatniej pracy „Etyce ogólnej": „Obecna wojna wszechświatowa........ Państwa rzucają miljony ludzi na rzeź, narażając inne miljony na cierpienia głodu i nędzy; i to wszystko w imię ujawnienia swej potęgi i przewagi, w imię jakichś mrzonek imperjalistycznych, nie mających żadnego związku ze szczęściem reprezentowanych przez te państwa narodów".

Chcę z tej bogatej skarbnicy, jaką są „Myśli i aforyzmy o etyce lekarskiej", przytoczyć jeszcze jedno zdanie: „Ile razy słyszę cudzoziemców, wyrzekających na ciemnotę i niechlujstwo naszego ludu zawsze uczuwam wstyd i wyrzuty sumienia. Wina bowiem za wady narodu ciąży przedewszystkiem na jego przodownikach inteligencji".

Nad tem zdaniem, jako przyszłe kadry inteligencji powinniśmy się poważnie zastanowić.

Dr. Biegański umarł w roku 1917-tym.

Wielki Hippokrates w jednym z aforyzmów mówi: „Życie jest krótkie, sztuka długa, a właściwa chwila prędko mija, próba jest zwodnicza, sąd jest trudny. Trzeba nie tylko przed sobą okazać, że się czyni, co należy, ale i przed chorym, otoczeniem i światem całym".

Dr. Biegański właśnie wykorzystał krótkie życie i okazał nietylko przed sobą, ale przed chorymi i światem całym, że czynił co należy. **E. Borkowski.**

AFORYZMY.

„Nie bogate pracownie, nie pomoc i kierunek w badaniach stanowią o zdobyczach naukowych, lecz wiara w świeży pomysł, zamiłowanie do pracy oraz niezłomna wytrwałość w badaniu".

„Ty umiesz dużo, ja będę umiał jeszcze więcej; ty czynisz dobrze, ja będę czynił jeszcze lepiej — tak czuć i rozumować powinien każdy szlachetny współzawodnik". Dr. W. Biegański.

MICKIEWICZ i SŁOWACKI

jako dwa typy psychologiczne.

„Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz!"

A. Mickiewicz: „Pieśń Filaretów".

„Szczęśliwy, kto się w ciemnych
marzeń zamknął ciszę
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta".

J. Słowacki: „Godz. myśli".

Prawie całe nasze życie psychiczne ogniskuje się koło dwóch centralnych dyspozycji: uczucia i zdrowego rozsądku. Te dwa czynniki nie u wszystkich ludzi występują jednakowo; nie u wszystkich bowiem panuje harmonja uczuć i roz sądku. U jednych przeważa uczucie u drugich znów odwrotnie rozsądek.

Mając przeto na uwadze te dwie dyspozycje: (uczucie i zdrowy rozsądek) — możemy podzielić ludzi na pewne typy psychiczne.

Klasyfikacja taka polega na tem, że osobników, którzy mają gros cech wspólnych, podciągamy pod jeden wspólny mianownik, a drugich, posiadających więcej znamion innych, zaliczamy do innej kategorji typów psychicznych.

I tak według większości danych znamion podzielił ludzi, znakomity psycholog, Jung, w swem dziele: „Psychologische typen": — na introwertyków i ekstrawertyków'

Introwertyk jest to osobnik, uciekający od świata realnego w dziedzinę marzeń, bądź to dlatego, że jest zbyt słaby wobec świata, który go swym ogromem przytłacza — bądź też dlatego, iż mu świat rzeczywisty nie wystarcza, jest dla niego nazbyt prozaiczny i nie pozwala mu na zrealizowanie swych pragnień.

Skoro więc ten typ nie może swoich pragnień spełnić w świecie rzeczywistym, znajduje przeto ich zaspokojenie w świecie marzeń sennych lub na jawie.

Wyobraźnia, fantazja lotna, świat irracjonalny — odgrywają u introwertyka dominującą rolę. Na myśleniu i rojeniu cudnych zjaw, światów, gdzieby on sam rozstrzygał najważniejsze sprawy — zasadza się prawie całe życie tego typu psychicznego.

Nie jest jednak introwertyk zupełnie niezdolny do czynu. Może działać, ale tym czynom przeciwstawia się właśnie jego specyficzne usto sunkowanie się do świata rzeczywistego. Do rze czywistości bowiem odnosi się już z pewnym a priori powziętym planem, z pewnem uprzedzeniem — i jest nastawiony na wszelkie poczynania realne samokrytycznie. Niezadowolony ze świata realnego, chętnie cofa się w kraj swych marzeń, w sferę swych przeżyć, uczuć i przeczuć. Siły do życia znajduje w rojeniach i myśleniu, w przeciwieństwie do drugiego typu psychicznego: ekstrawertyka.

Ekstrawertyk „wyżywa się" cały w czynie. Nie zrażają go żadne przeszkody, bierze je poprostu szturmem.

Jak introwertyk rekompensatę znajduje w marzeniach — tak ekstrawertyk w realizacji wielkich czynów, które go, — swym ogromem— bynajmniej nie powstrzymają od działania. Czynnością introwertyka jest pewna forma umysłu, a ekstrawertyka wzmożona zewnętrzna czynność. Są to, krótko mówiąc, dwa kontrastowe typy psychiczne. Spotyka je się często w życiu.

I często właśnie te odrębne organizacje i konstytucje psychiczne — stają się powodem niezrozumienia pewnych wielkich jednostek, u których silniej i wyraźniej występują te znamiona psychiczne.

Dowodem tego są np. dwaj nasi Wieszczowie: Mickiewicz i Słowacki.

Na niczem innem bowiem nie jest oparte niezrozumienie Słowackiego u współczesnego mu pokolenia, jak właśnie na tem, że ten wirtuoz słowa był introwertykiem — a pokoleniu ówczesnemu potrzeba było ludzi czynu, pracy organizacyjnej:—i takim był Mickiewicz. Stąd ta nadzwyczajna popularność Mickiewicza, gdyż on nietylko tworzył, ale i działał. Był ekstrawertykiem.

Już bowiem od wczesnej młodości w gronie uczniów uniwersytetu wileńskiego rozwinął nader ożywioną działalność.

Tworzył, budował, organizował, bawił się — zawsze wesoły, zawsze czynny.

„Łam czego rozum nie złamie!" „Hej, ramię do ramienia!" „Razem młodzi przyjaciele!"—oto hasła ekstrawertyka, który nie przeląkł się ogromu świata, nie przestraszył się kolosu ziemi, wielkiej pracy i trudu, lecz śmiało nawołuje do poruszenia bryły ziemskiej z posad świata!...

Wszędzie czyny, czyny i czyny....

Nie będę wspominał o działalności filomackiej, gdyż są to rzeczy powszechnie znane.. On nietylko wypowiadał się w działaniu doraźnem, ale i w tworzeniu.

I to jest charakerystyczne, że, jak przystało na prawdziwego ekstrawertyka, wszyscy jego bohaterowie, czy to będzie Wallenrod, Farys (a przedtem nawet Gustaw), Konrad, Tadeusz i Robak — są wszyscy oni zdolni do czynu, wszyscy działają, tworzą czyn realny i konkretny. Może najdalej będzie od tego Konrad, ale i jego wołanie „o rząd dusz" — świadczy, że chce działać! Najlepiej wypowiedział się Mickiewicz —ekstrawertyk w „Farysie".

Ten pęd niewstrzymany, to ciągłe parcie naprzód po trupach przeszkód, ten witalizm poety

— znalazł pełne swe odzwierciadlenie w szalonym jeźdźcu pustyni..

I takie powiedzenie: „Ja pędzę — ją nie znam trwogi“ — nie jest jeno czczym frazesem, lecz posiada pełną wartość słowa tego poety czynu...

Nie zraża się Farys przeciwnościami, ale bierze je niejako szturmem: „Pędź, latawcze białonogi, góry z drogi, lasy z drogi“ i t. d. Z pod stosu uczuć i myśli, po przegranej batalji z Bogiem „o rząd dusz“, o poezję — moc — wymusza się ekstrawertyk. Zrozumiał bowiem Mickiewicz, że dla niego najmniejszy czyn stanowi większą wartość, aniżeli słowo piękne. Zaciąga się przeto do hufu żołnierzy — działaczy emigracyjnych, choć szarych, ale czynnych.

I jak sam pisze w „Pielgrzymie“: „polityką, Działaniem nazywamy tylko Czyn, albo Słowo i myśli, które rodzą Czyn“. I żywa, ekspansywna natura ekstrawertyka — skłoniła go do złamania pióra, do tego by zamiast pisać, wziąć się do czynnej pracy organizacyjnej (Koło towiańczyków, Legjon włoski 1848 r., Legjon konstantynopolitański 1855 r.) bo choć przedtem ćwiczył się w działaniach poezją — to jednak zawsze ostatnim celem tych ćwiczeń duchowych był czyn realny. Przestał pisać, bo „zrozumiał — jak mówi Przybyszewski — że najdrobniejszy czyn tysiąc razy więcej wart, aniżeli cała ta pisanina“.

Inaczej przedstawia się struktura duchowa drugiego wieszcza.

On „przeczuciem szukał zakrytego świata“, „Karmił się marzeniami, jak chlebem powszednim“, „I wypadkami myśli żył w siódmem niebie“, „A nieszczęście przyjmował pół smutnym uśmiechem“ i jego „Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby“ (Godz. myśli).

Czyż to nie spowiedź introwertyka, który od zarania niechętnie jest nastrojony do świata realnego!? Ten świat go rani i drażni, jest jakiś dlań obcy, nieswój. Ucieka więc Słowacki w kraj swej wyobraźni i tam dopiero jest prawdziwym poetą i władcą.

Te cechy noszą też i jego bohaterowie. Każdy z nich nie jest zdolny do większego czynu, któryby mógł doprowadzić do końca. Ani Lambro, ni Kordjan (Anhelli też nie jako ofiara bierna) ni tylu innych, ni sam nawet poeta, co najswobodniej się czuje w świecie wyczarowanym ze swej fantazji, gdzieby mógł marzyć, roić, śnić, harfy używać lub bicza...

Do życia świata realnego nie mógł nagiąć swej psychiki! „Beniowski“ wprawdzie miał tego dokonać, ale nie spełnił, pokładanych w nim nadziei, gdyż introwertyk i tu w całej pełni wystąpił.

Lubił krainę fantazji — lubił też i ludzi, którzy żyli w świecie innym, nie na tym przyziemnym obszarze tego świata — Polski. Sam powie później o sobie: „Lubiłem takie dusze, dzikie, smętne. Rozokolone na niebie szeroko, Błyskawicowe trochę, trochę mętne“. Introwersja występuje w każdym prawie utworze poety, w każdym jego odniesieniu się do życia realnego. I tak np. w „Hymnie“ powstańczym, miast czynu mówi: „Wolności pieniem wzruszę zimne granity Newy“. — To „pienie“, a nie czyn określa nam dokładnie organizację psychiczną poety.

Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na szersze omówienie tej kwestji, to co powiedziałem jest zaledwie słabym szkicem, dlatego też, kto „chętny“ „dośpiewa“ sobie resztę sam.

Ja chciałbym jeszcze poruszyć jedną sprawę, a mianowicie stronę artyzmu, malowania, czy to przyrody, czy też zjawisk lub rzeczy.

Określa się zwykle obrazy mickiewiczowskie, jako par excellence malarskie, takie widzialne, rzeczywiste, „prawdziwe“; kolorystyka bowiem jest naturalna; to co widział — to słowami odmalował...

Inaczej natomiast sprawa przedstawia się u Słowackiego; tutaj pełno złota, tęczowych kolorów, purpury, róże nawet są czarne: „Wybrednie marząc w różach kolor czarny“. Inaczej bowiem w świecie realnym reaguje się na barwy, kolory, inne ma się obrazy i t. d. Kiedy ekstrawertyk — Mickiewicz maluje świat zewnętrzny, świat „prawdziwy“ — to talent epika jest większy, im bardziej odda w opisie wierność rzeczywistości... Ale kiedy, introwertyk — Słowacki opisuje swój „niby świat drugi“ — to trudno żądać od niego — jak chcą niektórzy — by kolory brał z rzeczywistości.

A ten iracjonalizm barw wypływa nie z czego innego, jak właśnie ze specjalnego duchowego organizmu Słowackiego. Jednak nietylko w „malarstwie“ będą się różniły dwa te typy poetyckie. Ta różnica zachodzi też w formie i słownictwie poetów.

Gdy Mickiewiczowi wystarczył język prosty, język ludzi „ziemskich“ w jego najprzeróżniejszych odmianach, bo mógł nim wypowiedzieć wszystkie stadja uczuciowe swych bohaterów— to Słowackiemu nie. On nie był zdolen zawsze wyrazić wszystkich odmian życia duchowego przy pomocy li tylko języka „Zjadaczy chleba“. Przeto szukał doskonalszych zwrotów, wyrażeń, tworzył poprostu język nowy — i to była jego „poetycka droga“...

Mickiewicz podniósł język potoczny do poezji — Słowacki stworzył nowy język poetycki, który u introwertyka odgrywa większą rolę, niż u ekstrawertyka.

Introwertyk jest bardziej wybredny, lepiej wyczuwa przeróżne subtelności wyrażeń, używa też terminologji — nam się nieraz wydaje dziwniej — która wiernie odtwarza jego stany uczuciowe. I stąd ciągle u Słowackiego doskonalenie się, ciągła praca poetycka, aż do samej śmierci. Nie był zdolny bowiem introwertyk do porzucenia swej krainy marzeń! Nie mógł Słowacki zamienić pióra na czyn, bo coraz dalej i wyżej szedł w rejony ducha za „Królem — Duchem“.

Zyg. Ziółek G. Z. S. K.

SPRAWA DOTYCZĄCA KAŻDEGO.

Każdy z nas codzień, niemal na każdym kroku, czyta i słyszy rozmaite narzekania społeczeństwa na biedę i nędzę w kraju.

Wszędzie daje się odczuwać brak pieniędzy, ilość bezrobotnych wzrasta z dniem każdym; fabryki ograniczają swą pracę do kilku dni w tygodniu, by mniej wytwarzać towarów i w ten sposób zmniejszyć nadprodukcję. Jednak mimo stopniowego ograniczenia produkcji i na te towary niema nabywców. Ceny wszystkich produktów spadły i w dalszym ciągu jest tendencja zniżkowa, której przyczyna tkwi w minimalnej konsumcji społeczeństwa.

Najwięcej narażony na straty jest rolnik, któremu całkiem nie opłaca się produkcja zboża, bo otrzymuje za nie tak mało, że nie może kupić sobie przemiotów codziennego użytku (nie mówiąc już o potrzebie udoskonalenia technicznego gospodarstwa lub o zaspokojeniu potrzeb kulturalnych). Rolnicy przestają kupować i to jest przyczyną, że lwia część konsumentów, którą tworzą wieśniacy — odpada. W ten sposób kupcy są pozbawieni nabywców, a z powodu tego brak im podstaw dla trwalszej poprawy.

Likwidacja słabszych przedsiębiorstw, nie jest jeszcze zakończona i prawdopodobnie przeciągnie się poza okres wiosenny. Z tego wynika, iż sytuacja gospodarcza w Polsce jeszcze się więcej pogorszy... Wszystkie przedsiębiorstwa, które przetrwały zwycięsko wojnę, przetrwały chaos gospodarczy w pierwszych latach tworzenia się państwa, przetrwały inflację, dopiero teraz chwieją się wskutek przesilenia gospodarczego.

W kołach gospodarczych panuje przekonanie, iż obecny kryzys może być tylko częściowo opanowany i dlatego nie należy się spodziewać radykalnej zmiany w stosunkach ekonomicznych kraju. Depresja gospodarcza potrwa jeszcze dłuższy czas, co pozostaje w ścisłym związku z konjunkturą ogólnoświatową. Wygląda to tak, jakby kraj nasz był w sytuacji bez wyjścia. Ale czy tylko u nas jest tak źle? Niestety! Na całym świecie dzieje się mniej więcej to samo, co u nas, a w niektórych państwach jeszcze gorzej.

Naprzykład, w Niemczech liczba bezrobotnych sięga 4 miljonów; w bogatej Anglji przemysł kurczy się i fabryki stają. Nielepiej dzieje się w Ameryce, która chociaż słynie jako najbogatszy kraj świata, nie może znaleźć sposobu na usunięcie bezrobocia i na uśmierzenie krwawych, ciągle powtarzających się rozruchów na tle braku pracy. Mimowoli każdemu nasuwa się pytanie: Co jest przyczyną tego katastrofalnego położenia? Wydaje się, że jakaś chroniczna choroba opanowała wszystkie niemal państwa na globie ziemskim. I rzeczywiście, taki stan rzeczy nie można nazwać inaczej, jak chorobliwym. Lecz nikt nie powinien zapominać o tem, że choroba ta bezpośrednio każdego z nas dotyczy, bo od jej przebiegu, zależy nasz los i naszych najbliższych. Najwięksi ekonomiści świata głowią się nad przyczyną obecnego zastoju i martwoty i nie mogą wskazać istotnych przyczyn, stwarzających dzisiejszą sytuację, oraz sposobów jej usunięcia. Niedawno zmarły angielski uczony Jewons doszedł do przekonania, iż przesilenie gospodarcze powtarza się perjodycznie mniej więcej co 10 lat. Ustalił nawet daty, kiedy kryzysy wybuchały i kiedy w przyszłości nawiedzać nas będą. Wywody Jewonsa okazały się słusznemi, bo po jego śmierci przesilenia gospodarcze — jak to zbadali obecnie żyjący ekonomiści — powtarzały się ściśle w latach przez niego przepowiedzianych.

Jewons opisał bardzo szczegółowo przebiegł każdego kryzysu. Między innemi dowodzeniami, tak mówi: „Rozpoczyna się on dość dziwnie: wszędzie obfitość pieniędzy, przemysł rozwija się gwałtownie, nowe fabryki rosną, jak grzyby po deszczu, bezrobocie zupełnie zanika, słowem wszystkim się dzieje jak najlepiej“. Robotnicy i całe społeczeństwo — jak z tego wynika — zaczyna

wierzyć, że stan taki będzie trwał wiecznie. Aż tu nagle, na tle jego dobrobytu, rozlega się pierwszy złowieszczy głos. Fabryki za dużo produkują towarów i nie mogą znaleźć na nie nabywców. Aby temu zapobiec, muszą zmniejszyć produkcję i dlatego zwalniają robotników. Ale, to też niewiele przyczynia się do polepszenia bytu przedsiębiorstwa i w dalszym ciągu następują redukcje, oraz ograniczenia dni pracy w tygodniu. W końcu, jeżeli dana fabryka, czy małe przedsiębiorstwo jest źle prowadzona, to przychodzi bankructwo, które pociąga za sobą upadek innych firm — jej wierzycieli; a po nich przychodzi kolej na inne fabryki, związane z upadającą firmą. I dalej zaczyna się dziać jeszcze gorzej: fabryki i banki upadają, bezrobocie wzrasta w zastraszający sposób, kupiec przestaje ufać nabywcy, ceny wszystkich towarów spadają ,bo maleje liczba konsumentów, a zarobki, które pobiera drobny odsetek robotników, nie wystarczają im na pokrycie najniezbędniejszych wydatków.

Taki sam moment przeżywamy obecnie w Polsce. Wszelkie wysiłki naszych ekonomistów, dążących do usunięcia kryzysu, — okazują się narazie daremne. Znowu, niejednemu z nas nasuwa się pytanie: Cóż jest, doprawdy tą przyczyną, która tamuje wszelki rozwój życia gospodarczego? Otóż jedni twierdzą, że obecny kryzys pochodzi wskutek nadmiernego wzbogacenia się Ameryki i czasie wojny światowej, przy jednoczesnem zubożeniu Europy. — Jeżeli jednak Ameryka ma tyle złota, więc w St. Zjednoczonych powinno być dobrze, a tymczasem i Stany Zjednoczone przeżywają tę samą katastrofalną sytuację, co i Europa. A więc widzimy, że takie dowodzenie nie ma podstawy i nie możemy uważać go za przyczynę dzisiejszej choroby gospodarczej.

Inni dowodzą, iż przyczyną zła jest podział Europy na wiele państw i państewek, które prowadzą ze sobą zawziętą walkę handlową. Jedne z nich nie kupują obcych towarów, wobec tego i inne państwa wstrzymują się od kupowania u nich. Zwolennicy tych poglądów zalecają utworzenie Stanów Zjednoczonych Europy, by zamienić naszą część świata na jeden organizm gospodarczy (polityka francuskiego ministra spraw zagranicznych Brianda—projekty „Paneuropy“).

Jak widzimy najwięksi nawet politycy i ekonomiści, nie mogą nam wyjaśnić przyczyn kryzysu, ani też ich usunąć.

Ciekawe dowodzenia o kryzysie gospodarczym w Polsce daje nam prof. Uniwersytetu Warszawskiego Z. Petrażycki, który dowodzi, że kryzys zależy wyłącznie od psychiki, czyli od nastrojów społeczeństwa i od oceny gospodarczej przez ogół. Natomiast nauka stwierdziła ważną niezmiernie prawdę (jak już mówił Jewons), że kryzys jest zjawiskiem przemijającem i musi zmienić się na lepsze. Jednak kiedy to ma nastąpić, na to, nie daje definitywnych określeń.

W Europie mamy kryzys surowców, kryzys przemysłowy, kryzys handlowy i kryzys rolny. Opinja sfer gospodarczych dowodzi, że bez kooperacji międzynarodowej gospodarki, kryzys ten, z trudem da się zlikwidować. Każdy przyzna, że w chwili obecnej pod względem gospodarczym wszystkim dzieje się źle. Miejmy jednak nadzieję, że ten ciężki okres minie i może niedługo zaświta nam zorza lepszego jutra.

Wspomniany już wyżej prof. Z. Petrażycki dowodzi, że w kryzysie zapobiegawczą rolę odgrywa energja i praca ludzka. Więc gotujmy się już w szkole do tej pracy! Wierzmy święcie, że kiedy opuścimy mury szkolne i rozpoczniemy samodzielne życie, wtedy położenie gospodarcze napewno się zmieni na lepsze. Będzie szerokie pole do pracy, do czynu, do wykazania swych zdolności. Wykorzystajmy więc czasy szkolne, by przygotować się należycie do przyszłej walki o dobrobyt gospodarczy kraju, by wykwalifikować się na pierwszorzędnych pracowników w obranych przez nas dziedzinach. A wtedy fala rozkwitu gospodarczego poniesie polską banderę z mielizny polskiego życia na głębokie wody rozwoju gospodarstwa narodowego. — **B. Tkacz,** Szk. Handl.

Z NASZEGO POMORZA.

(Fragmenty z wycieczki rowerowej 3 kolegów nad Polskie Morze, zorganizowanej przez Koło Krajoznawcze przy G. P. H. S., ubiegłych waka-cji od dn. 5 lipca do 10 sierpnia.

I. Z NASZYCH KASZUB.

Dzień był pogodny. Od czasu tylko do czasu z poza widniejących na horyzoncie wzgórz pojezierza wysuwał się biały tuman, rósł i pędzić począł ku nam... Jazda była niemożliwa — musieliśmy „lądować". Posuwaliśmy się wolno po świeżo usypanej szosie, pchając przed sobą obładowane rowery. Po chwili silny podmuch wiatru począł słabnąć, tracić swą moc i zaplątawszy się gdzieś wśród wzgórz jezior i lasów, ścichnął zupełnie...

Droga poczęła się wić pod górę, potem zapadła w dół, obejmując spiralami wzgórza okryte jasno - zieloną szatą klonów, buków i grabów. Przed nami otwarła się ładna perspektywa na szeroką, w głębi widniejącą dolinę Brdy. Ostremi zakolami po zboczach zalesionych wzgórz, zjeżdżamy do ukrytego, przed naszemi oczyma, do ostatniej chwili Koronowa. Stare to pomorskie miasteczko, przytulone do jednej krawędzi doliny Brdy, wymytej z pośród morenowych wzgórz, okolone liściastemi lasami, sprawia wrażenie dość uroczego i zacisznego zakątka...

Od Koronowa szosa skręca na zachód, omijając szeroką, błotnistą dolinę Brdy, kieruje się ku terenom wyżynnym...

Minąwszy Koronowo poczęłem gonić mych towarzyszy, którzy w między czasie mnie wyprzedzili. Za miasteczkiem minąwszy okalające je wzgórza, źle poinformowany, skręciłem na wschód, wjeżdżając w ten sposób w rozległą dolinę Brdy, wciskającą się w środek borów tucholskich...

Słońce chyliło się już ku zachodowi. Zielone kopuły morenowych pagórków, pokrytych świeżem listowiem borów, czerwieniły się blaskiem pozłoty słonecznej. Wgłąb ciemnego boru, jaki się przede mną roztoczył, poprzez konary, krzewy wdzierały się strzępy światła, igrając figlarnemi refleksami, z ogarniającym bór mrokiem. Na szosę wijącą się wśród tych połaci leśnych wypezły jakieś koszmarne cienie, jakgdyby broniąc wstępu, do dzikich tajników przyrody, do tych głębin nieznanych.

Przed memi oczami pnie czerwonawych sosen, powykręcanych i splątanych dziwacznie przez wichry grabów, klonów i brzóz, jakby ożyły... Zdawało się, że hen, gdzie szosa ginęła w mroku i w szarej rozpływającej się plamie lasu, że stoją ci mocarze leśni groźnie, twardo i nieustępliwie...

Gdy jednak mój „koń stalowy", rzęrząc zgrzytem trybów, lub parskając raźno odskakującemi z pod opon kamieniami „rwał" naprzód, ginęła gdzieś ta ich duma; rozstępowały się, migały przed oczyma odkrywając ukrytą drogę... Czasem poprzez szosę przeleciał spóźniony i wystraszony mieszkaniec lasu, to znowu jakiś leśny śpiewak nocny na widok pędzącego wehikułu milknął zdziwiony, poczem ze zdwojoną energją począł kończyć swe trele, przy akompanjamencie całego boru.

Z pośród sandr strzelająco w górę smukłopienne sosny poczęły szumieć, pełen i melancholji i smętku hymn wieczorny... Gonił on za mną wzdłuż piaszczysk morenowych, przewijając się między konarami sosen, porastających te obszary. Gdzie niegdzie z pod ciemnogranatowego igliwa, z za czerwonych pni, sterczała dumnie w górze korona jarzębu, zaś u dołu zapuszczając żylaste korzenie w łono ziemi, tkwił poważny cichy „cyprys polski" — jałowiec. Panorama się nie zmienia. Rzadko ponad w łagodne przeguby spolowany teren sterczy jakiś garb morenowy. Wszystko takie smętne, głuche...

Coraz ciemniej...

W pomroku i biała wstęga szosy poczęła powoli ginąć. Napróżno wytężałem wzrok naprzód: — kolegów moich dojrzeć nie mogłem.

Zwiększałem szybkość i do każdego

zakrętu leśnego zbliżałem się z nadzieją, że ich dojrzę. Niestety! Przedemną otwierała się pusta coraz bardziej niewyraźna szosa. Pochylony na zimnym, rosą wieczorną pokrytym, stalowym karku mego „rumaka“, zacząłem pędzić naprzód tak, że już mało wyraźne sylwety drzew zlały się w jedną ciemną plamę.

Po półgodzinnej szalonej jeździe stanąłem zrezygnowany przed urywającą się szosą. Horyzont mego widzenia był coraz mniejszy. Nadomiar ku swemu przerażeniu, na jednym pniu rosochatej sosny, z mozołem odczytałem: „Droga prywatna, przejazd wzbroniony“.

Szosa wplotła się w jakąś krętą, wyboistą drogę leśną, do której z głębi lasu wysuwały się wężowate, jak macki, ścieżyny.

Stanąłem nasłuchując wkoło...

Cisza...

Czasem z tyłu ozwał się jakiś szmer, jakby skradającej się istoty...

Nie — to złudzenie... to rozdygotany powiewem wiatru jakiś krzew... To znowu tam w ostępach powstał jakiś syk, jakby szept zwodniczy...

Z pod paproci, z tajemnych krain swego bytowania wypełzły małe świetliki, niosąc w ciemny bór, jasne promienie. Zdawało się nieraz, że taki krzew, który sobie chrząszcze szczególnie upodobały, stał się siedliskiem dziwnego ognia; ognia, który nie trawi swej pożywki, który nie zlewa się w jeden płomień, ale jarzy się iskrami, błyska kolorem złota i błękitu...

Począłem dzwonić w nadziei, że jeśli koledzy będą w pobliżu, to odpowiedzą na moje sygnały. Niestety! Przeraźliwy głos dzwonka podchwytywało echo. Z poszumem konarów, leciał ten głos w mrok, tłukł się o pnie sosen, buków, grabów, dębów, wdzierał się w wykroty leśne, napełniał lękiem gniazda, ale siostrzanego tonu nie zdołał wywołać.

Wkoło bory... Wracać do Koronowa to kwestja ponad 20 klm...

Z zamyślenia wyrwał mię chrzęst potrącanych gałęzi. Z ciemności z poza pni drzew, niewidoczną już zupełnie ścieżyną, wyjechało na rowerach dwóch, — z uniformu, jak sądziłem, — żołnierzy. Zataczając półkola i spirale, zatrzymali się i jeden z nich chwiejąc się i jąkając, począł mię indagować:

— „Więęęc ppan szuka kolegów“? — ciągnął niestrudzenie.

— Tak.

— Pan ich już nie znajdzie. Ppan zbłądzi, pppan juuż zbłądził. Z Koronowa powinien się pan skierować na lewo a nie na prawo. Tak! Pan stąd nie wyjedzie. Nam strażnikom leśnym nocą po ścieżkach się tłuc to furda ,ale pan...

Tu wpadł na genjalną myśl; bo zawołał.

— Niech pan z nami jedzie, prześpi się pan, a jutro rano my pana wyprowadzimy z tych borów na właściwą drogę.

Z lękiem spojrzałem na „zawiane twarzyczki“ moich bądź co bądź wybawców, lecz nie znalazłem w nich nic, coby mi się grozić zdawało...

— Wspaniale — odparłem — jeśli to panom i t. d.

— Dobrze — tu pierwszy z leśniczych z iście zygmuntowskim dzwonem u roweru ruszył naprzód, wskazując mi drogę.

Jechałem ostrożnie, by nie najechać na przewracającego się co chwilę przewodnika. Daleki byłem od żartów, choć nawet szanowny mój wybawca w naiwno-komiczny sposób tłumaczył mi przyczyny swego upadku.

Jechaliśmy z cicha gawędząc.

Od czasu do czasu, przejeżdżaliśmy pod gęstym baldachimem, sadzonych przy ścieżce, świerków, chłoszczących nas swemi długiemi, jak bicze gałęziami. Ostre igliwo wdzierało się przemocą w usta. Przy mijaniu małej zacisznej polany, towarzysz mój wskazując na rusztowanie wśród drzew ukryte, rzucił:

— Stanowisko na dziki.

— A to jesteśmy już prawie na miejscu — dodał drugi, wiodąc nas na sąsiednią szerszą polanę.

Leśniczówka Różanno!

Na pochyłości dość łagodnego „garbu“ wznosił się schludny dworek; nieco na prawo drugi mniej pokaźny...

Wesoły gospodarz, zabawiając rozmową, wprowadził mnie do wnętrza. Po kolacji długo w noc gawędziliśmy. Wreszcie zmęczony, mrucząc na wszystkie pytania leśniczego — tak — usnąłem.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy w trójkę. Jechaliśmy drogą krętą, zjeżdżając „na łeb na szyję" z piaszczystych, lichą trawą pokrytych pagórków. Czasami musieliśmy się przedzierać przez gąszcze leszczyny, osiadłej na mokradłach. Wśród takich haszczy i mokradeł, cicho i leniwie toczy swe mętne i zdradliwe fale Brda. Wypływa też na puste, jałowe sandry, świecąc zdala powierzchnią swych wód.

Po przerzuconych kładkach przeprawialiśmy się przez nią kilka razy, omijając kępy i bagna. Mijaliśmy tu i owdzie nad Brdą na gliniastem podłożu morcadennych rozprzestrzenione lasy liściaste i mieszane. W głębi borów — objaśniał mój wczorajszy wybawca — nad ukrytem jeziorem (Wukrz) rosną prastare cisy, należące do najładniejszego skupienia w Polsce. Zasadniczo — ciągnął dalej leśniczy — bory Tucholskie nie są borem starym. Drzewostan tu jest młody, i znać już na nim piętno pracy człowieka. W głębi jednak borów, zachowały się jeszcze resztki zespołów drzew, jako udzikanie pierwotnej puszczy. (Cisowy Gaj, skupienie brekiny koło Szczarkowa).

Wśród borów tucholskich nierzadko spotyka się tafle lustrzane jezior, o specjalnym charakterze, co lud podchwycił pod nazwą „ciche".

Z pośród guzów lodowcowych wydostaliśmy się wreszcie na teren równy. Wjechaliśmy powtórnie w krainę wysmukłych brunatnych sosen. Czasem wśród pni i igliwa zabielały śnieżne pnie brzóz, wnosząc krasę do tej monotenji leśnej.

Dziwnie wyglądały wsie, usadowione na olbrzymich polanach leśnych, zdala od świata. Po długiem kołowaniu dotarliśmy wreszcie do szosy, gdzie się z moimi towarzyszami pożegnałem.

Znalazłszy się na właściwej drodze, począłem szybko mijać ostatnie awangardy leśne Tucholi i dotarłem do miejscowości tej samej nazwy, gdzie znalazłem moich zgubionych kolegów. Dzieląc się wrażeniami ubiegłego dnia przyjeżdżamy do Chojnic, warownego niegdyś grodu na zachodnich naszych rubieżach. Obecnie z dawnych jezior, które oblewały mury grodu, niema śladu. Z zamku zaś pozostały obronne mury: potężna pięciopiętrowa Brama Chłuchowska. Ładnie splantowane parki i sama okolica Chojnic zwiększa ich malowniczość. (c. d. n.)

Kółko Krajoznawcze przy G.P.H.S.

Dusza naturze pieśń zachwytu grała.

Ryś Kazuro nie mógł doczekać się końca obiadu. Spozierał ukradkiem po współtowarzyszach stołu, niby to przysłuchując się prowadzonej rozmowie — lecz myślą biegł już hen, od pobliskiego lasu, co seledynem swej barwy — majaczył poza wsią...

Rwała się jego dusza do ciszy leśnej, do tej przedziwnej głuszy, która umiała w nim wzbudzić nowe życie, życie zjaw nadziemskich, marzeń przepięknych, idealnej krainy wszelkiego piękna i dobra.

Tęsknił do tych chwil, kiedy to, przywarłszy plecami do omszonego pnia sosny, wciągał w siebie błyskotliwe, grające promieniami o stubarwnych odcieniach — powietrze słoneczne. To też z niepomierną radością i ożywieniem powitał powstanie od stołu.

Teraz jest wolny! Może lecieć i napawać swe jestestwo aromatem balsamicznym kwiecia, które bujnie porosło, jako „podszycie" leśne.

Nie zwracając wcale uwagi na epitet „romantyk", który za nim z pobłażliwym uśmiechem rzuciła matka — leciał wprost w pachnący już zdala zapach żywicy, zwracając kiedy niekiedy swe chabrowe oczy na polną zieleń, co kobiercem słała się z niewielkiej pochyłości, idącej od leśnego szaro-zielonego konturu.

Wreszcie wpadł w las.

Niby w modlitewnym zachwycie przywarł ustami do omszałej kory sośnianej, pijąc z niej jakiś eliksir nowego życia.

Naraz puścił z objęć sosnę i z zadumą na twarzy p,oczął prząść nić swego życia.

— W szkole nikt nie chce, czy nie może go

zrozumieć. Nie mogą pojąć jego duszy poetyckiej, która nie żyje jeno przyziemnemi sprawami, lecz wyczarowuje sobie inny świat: — kraj fantacji .kraj cudnych śnień. Nikt się nie wczuwa w jego tragizm duchowy, że musi swą psychikę ranić ciągle brutalną rzeczywistością, że musi zawsze pomieścić w swej piersi burze, wywołane konfliktem miraży i realnego życia.

Nazwano Rysia „fantastą". Ot i wszystko! Więcej się już nim nie zajmowano, nikogo już on nie obchodził. I ponieważ nie miał go kto wysłuchać, pocieszyć, więc uciekał do lasu i tutaj w świątyni przyrody znajdował ukojenie, a nawet nowy bodziec do dalszych wizyjnych majaczeń.

Las wgryzł się w duszę Rysia, pieśnią swej krasy nagiej, muzyką konarów drzew, lekkim szmerem liści krzewów, tchnieniem powiewnych podmuchów, hymnem życiowej radości, którą głosi każde ptasze leśne, każdy mieszkaniec zakamarków i wykrotów boru — niepojętem czarodziejstwem kojenia goryczy, przecudną symfonią barw i dźwięków. Przepych leśnych wrażeń i oddziaływań, skarbnica, z której czerpie się soki do lepszego życia — powaliła Rysia na kolana, jako wszechpotężna potrzeba ukorzenia się przed majestatem tego piękna i siły, którą las reprezentuje. Ugięła i poddała pod wpływ swego działania — duszę Rysia — malowniczość przyrody, która w zamiau, za korne uznanie, przez niego, jej wszechwładnego wpływu na życie ludzkie — dała Rysiowi moc dalszego trwania w swem przedziwnie pięknym, wysnutym z bogatej fantazji — pałacu. Za to wszystko Rysia dusza naturze pieśń zachwytu grała, zachwytu nieskalanego, płynącego ż głębin młodzieńczego serca.

I omdlewała jego jaźń z nadmiaru emocyjnych drżeń, jakiemi darzył go urok leśny, przykuwając Rysia do mozajkowego mchem porośniętego kadłuba królowej lasów, kolebiącej się majestatycznie za lada tchnieniem wiatru — polskiej poczciwej sośniny, co za dnia bujną swą wiedzą wstrząsa zawsze kokieteryjnie ku złotym smugom słonecznym, a w nocy majaczy kopułą czarno-granatową, po której igra poświata księżyca...

Wsączał się zwolna w duszę Rysia ten „cud" natury, zmuszając do zwrócenia baczniejszej uwagi na równinę, ciągnącą się od jego stóp (z pod kraju lasu) aż hen, ku bezkresnemu horyzontowi!

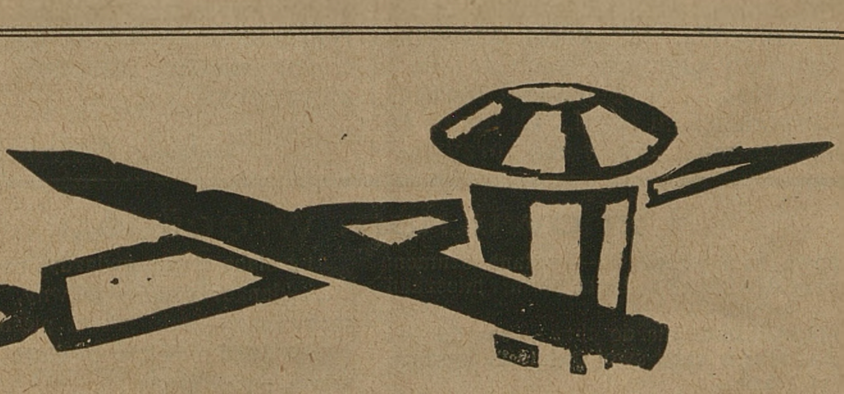
Ryś, przytulony do kadłuba sosny, ślizgał wzrokiem po tej równi trochę pochyłej, porosłej kępkami zielono-żółtych traw, chwiejących się za lekkim powiewiem wietrzyka, niosącego do uszu „romantyka": — tęsknotę rzewną, gasnącego życia, cichą, pełną melancholji, skupienia niezwykłego, czarowną, pełną niebiańskiej ekstazy — przedzgonną modlitwą tych prawie już zżółkłych i suchych łodyżek trawiastych. A wyżej nieco, od tej równiny, grało zachodzące słońce, czerwienią rubinów i pławiło się w purpurze przedzmierzchłej na modrzącej się szarfie bezkresnego okoliska widnokręgu.

Nakoniec słońce zapadło w otchłań ciemni nocnej. Wskroś ziemię przeszedł dreszcz lekki, skurcz i rozpostarcie po całodziennym trudzie— ziemskiego ciała, ściśnionego spiekotą, żarem słonecznej jasności. Na firmamencie niebios zabłysły migocące, świetliste gwiazdy, rzucające ukośnie swe zawoalowane, mdłe spojrzenia księżyciowi, co się naraz wychylił z zamrocznej czeluści aparatury świata.

Zew nowego życia, żew tajemnic nocnego bytu w otoczeniu wszystkich dziwów nocy gwiezdnej — mknął ku majaczącemu się zdala konturowi lasu, pędził chybotliwym błyskiem, kołował, kurczył się, prężył, aż wpadł w poświacie koron sosnowych w toń leśną. Długo jeszcze jego chichot słychać było, jak dążył dalej i dalej...

Wzdrygnął się Ryś. Przedziwne, modrzące się oczy, pełne cudnych miraży marzeń, pełne życia, wysnutego z przędz własnej fantazji — cofnął z krainy złud, z za światów swej jaźni — i powiódł niemi po omroczonych pniach drzew. Zabłysnął w jego oczach raz jeszcze fosforyczny błysk złudy — i zgasł, stłumiony myślą powrotu...

Zygter Gimn. Związk.



JEDNI Z WIELU.

(NOWELKA REFLEKSYJNA).

Rodzice dawno go odumarli. O własnych siłach przeszedł gimnazjum, jako pierwszy uczeń. Dziś stał się jednym z tych nieszczęśliwych, bez domu o chłodzie i głodzie szukający pracy. A kiedy spojrzał w górę i ujrzał ciąg żórawi — westchnął cicho: — ...czemżesz jest wolność człowieka gorsza Bogu od ptaszej?... Siejemy bo i zbieramy troski nasze wciąż na tej samej grudzie. Zwędrowali tą porą żórawie światy i napatrzyli, nasłuchali, użyli... hej! — zazdrościł im. Kochał ludzi, garnąć się chciał do nich, lecz oni z nim po macoszemu się obeszli — ot jest na bruku — sam... samotny. Gorzko wspomniał słowa Żeromskiego: „Jedyna towarzyszka życia, nieoceniona i wieczna — samotność..." tak!... wyszedł z jego duszy jakiś dziwny ironiczny zgrzyt, — jakże miła jest samotność, ona pomaga do myślenia, ...a myśleć — to żyć — dobre to ale dla innych, ja żyć samemi myślami nie potrafję.... ja chcę czynu! pracy! ...to dobre dla próżniaków.... to nie pochwała wzdychać do wykonania, a nic nie czynić... Zresztą aby być samotnym i cieszyć się z tego — trzeba mieć środki materjalne na to... Było to wieczorem; jeden z byłych kolegów, serdeczny przyjaciel znajdujący się nie w lepszych warunkach zaproponował mu przejażdżkę po stawie... Był późny wieczór... Niebo i ziemia stapiały się w ciemnościach. ...Była cisza... krople wody spływające z wioseł tworzyły ledwo uchwytny szmer... — niby arpedźców chromatycznych gam...—Co po rabiacie kolego?... Jak wiele przyjemnych chwil związanych mam z tobą... Czy pamiętasz?... w pierwszej klasie... — Nie wspominaj mi tego!... O! jakież to okrutne, dla mnie, człowieka, przywiązanie do przeszłości; nie mam prawa do przeszłości jak bogacze... nie mam bowiem ni domu, ni kawałka ziemi, gdziebym mógł złożyć pamiątki. Wszystkie moje wspomnienia jak radosne tak i smutne wiatr rozwłóczy po świecie... — To nieprawda! — rzucił kolega... Przeszłość krzepi i dodaje bodźca... A ludzie!... ja im nie zazdroszczę, ale nienawidzę... nienawidzę ich, a szukać szczęścia chciałbym w Bogu i sobie samym...—Nienawidząc ludzi nie można kochać Boga... Tak ale jak ich można kochać... życie wspólne — to olbrzymia arena, po ktróej ludzie naoślep pędzą do mety. Ni śladu uczuć szlachetnych, które przypisujemy im naiwności i wprost dziecinnej w nich wierze. Walka toczy się z całą brutalnością i bezwzględnością. Piekielny to wyścig, w którym każdy kto padł, uległ zdeptaniu... Tam gdzie wre walka, tam człowiek staje się zwierzęciem i niemasz na niego wędzidła... Straszne to jest... — Przyjaźń powinna prawdę mówić, a może uleczyć wszystkie cierpienia... Powiedz mi kochany — co cię tak zraziło do ludzi? — gdzie doszłeś do takiego o nich sądu? — Długa to historja i niechcę ci jej opowiadać — ot! odpowiem ci słowami Sienkiewicza: „Nadto sił kładziemy w gonitwie za miłością kobiety, potem miłość gdzieś ginie, a siły idą na marne"... przekonałem się wtedy o bezwzględności tych ludzi i o tym wprost niegodziwym wyścigu... ludzie walczą o wszystko z wszystkimi... — Wiele my mamy cierpień i smutków na tym padole ziemskim, ludzkim, lecź nie traćmy nadziei, wierzmy, a dostąpimy zwycięstwa.

Tadeusz Zakrzewski, G.P.H.S.

I znowu nam wróciłaś...

...i znowu nam wróciłaś' — witana szumem borów, przy dźwiękach cudnych pieśni: mieszkańców pól i lasów...

...i szłaś majestateczna do chat — zagród — i dworów — tak: w całej swej piękności, pysznej, wiosennej krasie...

...i z nieba stropu gwiazdy: nocą witały ciebie.

...i klangor ptaków rzewny, w modlitewnym zachwycie — tak, jak ta pieśń skowronka, co wieści dzień o świcie, co długo się rozpływa po szarej, polnej glebie...

...i z pod niedawnej grudy — gdy słońce swe promienie rozsieje po wszechbycie, budzącym się do życia — wyziera pęd roślinny, co później w życia — krasie wybuja nad łopuchy — pod kwietnych drzew sklepienie...

...i znowu nam wróciłaś — aż skądś, z zamorskich borów wymknąwszy się — tu — do nas — gnałaś wnet bez popasów — przy szumie górskich siklaw, tajemnych rohoworów...

...w przecudnej swej istocie, wiosennej, pysznej krasie...

...i dziwne tony pieśni wydobywałaś z siebie...

...i tęczę: tęsknot — marzeń: w noc, we dnie, i o świcie...

...i przyszłaś utęskniona, jak w eleuzyjskim micie — tam, kędy zima — śmierć kaźniła świat bez ciebie....

...z oślepiających blasków przedziwne masz odzienie...

...mistrzostwem wszechnatury dane, jako okrycie, — by po rozkwicie wiosny i letnim zrzałym czasie — zapadnąć w głuchą próżnię — jakieś osamotnienie....

...i znowu nam wróciłaś — może śród naszych sporów — aromat dziwny niosąc z kwietnych płatków — atłasów... narkozą sadów lipnych... woń mętną gdzieś z ugorów...

...a wszystko w swej przepysznej, wiosennej, cudnej krasie...

...i jesteś wszędzie: — w polu, w trawie, co się kolebie za każdym, jaknajmniejszym wichrowym jęku — wyciem...

...i w tem dziwnem misterjum, co się nazywa życiem — czy to w powietrzu, wodzie, czy też na ziemskim żlebie...

...czarowne, życiurade, wszechmocne twoje tchnienie: najdroższe skarby bytu wydostaje z ukrycia — zużywa je i rzuca, po nasycenia czasie — w przepastną toń, co zwie się: wszechludzkie zapomnienie... **Zygter** Gim. Zw. S. K.

KĄCIK NAJMŁODSZYCH.

SEN.

W pokoju siedzi dwoje dzieci 8-letnia dziewczynka i jedenastoletni chłopczyk.

— Och Boże, kiedyż nareszcie nadejdzie ta wiosna! Już się doprawdy wyczerpała moja cierpliwość. Siedzieć w domu i czytać trzeba i aż zazdrość patrzeć, jak się inne dzieci ślizgają. A nam nie pozwolą, — przerwał milczenie Zbyszek (takie było imię chłopca).

— Nie denerwuj się Zbychu, bo przecież i zima być musi, zresztą, masz tyle pięknych książeczek i jeszcze się nudzisz.

— Cicho, jestem starszy od ciebie, więc wiem co robić, twoich rad nie potrzebuję. Ach, co za nauczycielka ośmioletnia!

— Zbyszku, przecież nie chciałam ci zrobić przykrości!

— Może się ty nie nudzisz?

— Właśnie, że się nie nudzę, i nie rozumiem ciebie, bo ja się tylko lalkami bawię, a jednak wesoło mi czas leci nawet i w zimę.

— Jesteś jakąś dziwaczką, Zosiu, bo ty mnie nie rozumiesz, a ja ciebie, bo takiemi głupiemi kukłami bawisz się cały dzień.

Ja przynajmniej tyle wiem, że cały dzień jest przesycony nudami, nudami i jeszcze raz nudami.

W tej chwili weszła mamusia Zbyszka i Zosi.

— No dzieci, przynoszę wam dobrą wiadomość. Jesteśmy zaproszeni do państwa W. na cały tydzień. Chyba się bardzo cieszycie, prawda?

— Ach mateczko, jakam szczęśliwa,

Jeszcze bardziej uwierzył w to, gdy

— Dobrze, moje ty złotko, posprzątaj, bo czas już spać. A ty Zbyszku, czegoś taki smutny?

— No bo się strasznie nudzę. Przy książkach można usnąć, a na ślizgawkę mama nie pozwoli wyjść, bo się tam boi, żeby mi się co złego nie stało, a przecież nie jestem już małym bąkiem, jak Zośka!

— Zbyszku, bo nie pojedziesz, jak będziesz niegrzeczny!

— A kiedyż ten wyjazd, pewnie za jakie dwa lata?

— A nie, grubo się mylisz Zbyszku, wyjeżdżamy jutro o 8-ej.

— Mamo, jesteś słodka jak pomarańcz, o jakże się cieszę! — zawołał Zbyszek rzucając się matce na szyję.

— Widzisz Zbychu jaką się zrobiłam dobrą, gdy ci powiedziałam o przyjemnych rzeczach — rzekła z uśmiechem matka, tuląc do siebie dwie główki —

ale teraz spać, bo rano musicie wstać wcześnie, żeby zdążyć na pociąg.

Dzieci położyły się spać, planując sobie pobyt u państwa W., Zbyszka sen zmarzył i usnął. W nocy przebudził się poczuwszy jakąś dłoń na swoich włosach i zobaczył piękną panią, w sukni plecionej z kwiatów, we włosach okrywających wysmukłą jej postać jak płaszcz jedwabnych, były takie same kwiaty, na ramionach miała olbrzymie skrzydła.

— Zbyszku, podobno pragniesz najszybszego przybycia wiosny, prawda?

— Och, pani, rzeczywiście pragnę przybycia wiosny. Bo wtenczas nikt mi nie broni wybiegać się do syta, pojeździć na koniu, a teraz nawet na ślizgawkę nie pozwoli mi mama wyjść ani żadnych przyjemności zimowych nie używam.

— Istotnie nudzisz się Zbyszku, ale pomyśl, nadejdzie wiosna, później lato, następnie jesień i to wszystko przeminie jak nic i nadchodzi smętna zima.

— Prawda pani, ale trudno, trzeba się pogodzić z losem.

— A czy byś miły chłopczyku nie poszedł ze mną do mego kraju?

— A gdzież jest twój kraj pani, i jak się nazywa?

— Moim krajem jest „kraina wiecznej wiosny", w której jest tak wesoło i tak pięknie!

— O pani, toć to moje największe marzenie, być w krainie wiecznej wiosny!

— Więc wstawaj chłopcze i chodź ze mną.

Mówiąc to pani, dotknęła laseczką ramion chłopca i w tej chwili wyrosły mu skrzydła, któremi się tak ucieszył, że zaczął tańczyć po pokoju.

Potem wróżka otworzyła okno i wylecieli na powietrze.

Jakiś czas lecieli w milczeniu, aż je Zbyszek przerwał słowami:

— Czy długo jeszcze będziemy lecieli?

— Czegóż taki niecierpliwy Zbyszku? Czyż nie cieszysz się, że będziesz w krainie wiecznej wiosny?

— O cieszę się, pani, naturalnie, ale powiedz kim jesteś?

— Jestem Wróżką Wiosny Służką, ale już jesteśmy u celu.

Zbyszek zobaczył olbrzymi ogród, że gdzie się spojrzał widział kwiaty i ptaki śpiewające pieśń powitalną:

Witaj, że witaj wróżeczko przemiła,
Jak wielką jest mocna czarów twoich siła,
Stęskniliśmy się za twym miłym głosem,
Bez którego zostać było dla nas ciosem.

A ona im swym miłym naprawdę głosikiem odśpiewała:

Witam was ptaszęta wy moje kochane.
Tak bardzo przezemnie wy umiłowane,
Stęskniłam i ja się do gwaru waszego,
Dla mnie tak drogiego i ukochanego.

Zwróciła się do Zbyszka i rzekła:

— Zjadbyś co prawda? no to weź sobie tych soczystych gruszek, lub jabłek, a teraz muszę cię opuścić. Czy tu nie będzie ci się nudziło? Masz i konie dla siebie i wielkie ptaki i wszystko ,czego tylko zapragniesz.

— O pani Wróżko! czemże ci się wywdzięczę za tyle okazałej dobroci?

— Musisz mi przyrzec, że do nikogo się nie odezwiesz. No zgadzasz się???

— Czy tylko tyle pani? O z pewnością dotrzymam słowa!

— Więc pamiętaj chłopcze! No żegnaj! To mówiąc pani odleciała.

Zbyszko chcąc się przekonać o prawdzie słów pięknej Wróżki pomyślał o przejażdżce łódką.

W tej chwili z poza krzaków porzeczek ujrzał taflę jeziora i złotą łódeczkę.

Przewiózł się potem, najadł się i płynęło mu wesoło życie w tej pięknej krainie, że zapomniał o przyrzeczeniu danem wróżce.

Pewnego razu spytał się ptaka czy tu wiecznie trwa wiosna?

Nim ptak odpowiedział, zjawia się wróżka, z której oczu można było wyczytać żal, i powiedziała:

— Widzisz Zbyszku, zawiodłam się na tobie, a tak ci wierzyłam i taka byłam ucieszona, gdyż mi tak przyrzekał solennie, a jednak patrz. Żal mi ciebie,

ale trudno, zresztą i do was niedługo zawita wiosna. A teraz że....

— Zbychu wstawaj śpiochu, bo się spóźnimy na pociąg.

Zbyszko przeciera oczy i mówi:

— Więc ja nie byłem w krainie wiecznej wiosny, ależ nie, to niemożliwe!!

— Co ci się śniło powiedz-że mi!

Zbyszko opowiedział swój sen, przekonywując, że to była prawda. Niedługo zawitała wiosna i do końca życia wierzył, że był w krainie wiecznej wiosny.

Irena Migalska, ucz. kl. I.

List od Marszałka.

Zdziś postanowił napisać do Pana Marszałka. Na samą Madere. Dostał nawet od tatusia piękną pocztówkę z Jego wizerunkiem. Zastanawiał się teraz, co zrobić, aby odkrytka zwróciła uwagę Najdostojniejszego Solenizanta. Bo przecież takich odkrytek z życzeniami będzie tysiące. A jemu o to chodziło, żeby Pan Marszałek wiedział, że to nie od Jędrka, albo Wacia, ale od niego od Zdzisia. Jeszcze tego wieczora pod dyktandem tatusia Zdziś napisał życzenia wielkiemi, pięknemi literami. A gdy już wszyscy poszli spać, Zdziś wstał ze swego łóżeczka i dopisał w postscriptum: „Kochany Panie Marszałku, odpisz małemu Zdzisiowi, który Cię bardzo, bardzo kocha!“

Z wielką niecierpliwością Zdziś oczekiwał 19 marca. W środę wieczorem zabrała go niania na miasto, aby zobaczył capstrzyk. Na placu magistrackim, oświetlonym przez dwa płonące stosy maszerowało wojsko, a orkiestra grała „Legjony“. Zdziś wrócił do domu b. podniecony i gdyby nie czynna interwencja mamusi, chodziłby jeszcze długo koło stołu, śpiewając „Brygadę“.

Całą noc Zdzisiowi śnił się Marszałek. Widział Jego pochyloną postać, czytającą odkrytki z życzeniami i z zapartym oddechem przypatrywał się szarym oczom przeglądającym powinszowania. Nagle serce stanęło mu ze wzruszenia. Marszałek wziął „jego“ odkrytkę. Przeczytawszy włożył do kieszeni i zawoławszy oficera, długo rozmawiał z nim, uśmiechając się i pokazując tajemniczo na kieszeń. Zdziś widział jeszcze, jak przez mgłę, że p. Marszałek pisze jakiś list, wkłada go do koperty i zakleja ją czerwonym lakiem. Potem wszystkie obrazy zmieszały się i Zdziś obudził się. Jego senne oczy błądziły po pokoju, aż nagle ściemniały, stały się czarne prawie ze zdziwienia i radości; bo oto ujrzał na stoliku nocnym białą kopertę, zaklejoną czerwonym lakiem...

I wiele, wiele lat upłynęło, zanim Zdziś dowiedział się, że list od Marszałka był pisany ręką tatusia...

M. Jaśkiewiczówna, G.P.J.S.

HUMOR.

PARĘ „KAWAŁKÓW“ W JEDNYM KAWAŁKU.

Pierwszą lekcją była matematyka. Pan profesor zapoznał uczniów z ułamkami. Chcąc zaś obrazowo przedstawić sprawę, wyrwał Jasia do tablicy i zapytuje:

— Powiedz mi, w jaki sposób podzielisz sześć jabłek pomiędzy pięć osób?

Po długim namyśle Jaś odpowiada:

— Zrobię powidła, panie profesorze.

Profesor, nie zadowolony z odpowiedzi, pragnąc się przekonać, czy uczeń umie tak podstawowe działanie, jak dodawanie, pyta:

— No dobrze, a odpowiedz mi na takie pytanie.

Ja dam ci trzy króliki, a twój tatuś da ci dwa, ile będziesz miał ich razem?

— Siedem, odpowiada bez namysłu uczeń.

— Ależ, Jasiu, pomyśl lepiej, przecież to takie łatwe pytanie, będę zmuszony dać ci dwójkę z matematyki.

— A tak panie profesorze, bo ja mam już dwa, a dostanę jeszcze pięć, to razem będę miał siedem.

Tym razem profesor nie miał racji.

Jasio jednak powrócił do domu z płaczem.

Czemu płaczesz — pyta mamusia.

A Jaś. — E, bo to taka sprawiedliwość w szkole. Jak ja jeden z całej kla-

sy odpowiedziałem na pytanie, to pan profesor postawił mnie do kąta i bardzo na mnie krzyczał.

— A jakież to było pytanie?

— A bo pan profesor zapytał, kto stłukł szybę...

Nazajutrz Jaś postanowił „odpłacić“ się nauczycielowi.

Wszedł do klasy, gdy już się lekcja zaczęła, i prosto z mostu mówi:

— Panie profesorze, ja chciałem powiedzieć, że moja siostra jest chora na szkarlatynę z komplikacjami.

— Ależ w takim razie idź prędko, Jasiu do domu, i nie wracaj, aż siostra wyzdrowieje.

Po wyjściu Janka powstaje jego kolega, Adaś i mówi:

— Panie profesorze, ta jego siostra to mieszka na wsi, u babki.



WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

OD REDAKCJI.

Następny, w tym roku szkolnym, ostatni numer „Świata Szkolnego“ ukaże się około 22 maja. Prace, karykatury i szarady uprzejmie prosimy nadsyłać do dn. 12 maja.

W związku że zbliżającym się sezonem sportowym, wyruszaniem sportowców naszych na boiska i rozpoczęciem treningów, Redakcja „Świata Szkolnego“ postanowiła ufundować nagrodę dla najlepszej szkolnej drużyny koszykówki w Częstochowie. Międzyszkolny turniej o nagrodę „Świata Szkolnego“ rozpoczyna się z początkiem maja. Zgłoszenia do rozgrywek szkolnych drużyn koszykowych należy przesyłać pod adresem „Świata Szkolnego“ do dn. 25 kwietnia.

A więc koledzy sportowcy, czas rozpocząć trening, aby godnie w czasie rozgrywek reprezentować barwy szkoły.

— Z koncertu Gimnazjum państwowego im. H. Sienkiewicza.

Znana ze swej działalności Samopomoc uczn. Gimn. państw. im. H. Sienkiewicza zorganizowała w dniu 14 marca b. r. doroczny koncert orkiestry, chórów i solistów. Mimo wielkich trudności, jakie nastręcza wykonanie poważnych utworów najlepszych kompozytorów, bowiem program obejmował utwory: F. Chopina, Moniuszki, Paderewskiego i innych, siły gimnazjalne w miarę możności wywiązały się ze swego zadania. Wbrew tradycji chóry nie dostroiły się do wysokiego poziomu orkiestry symfonicznej, która wykazała swe walory przy wykonaniu poszczególnych numerów programu, zbierając liczne i zasłużone oklaski, a ogólny dyrygent p. prof. **Edward Mąkosza** otrzymał piękną wiązankę kwiatów. Z grona solistów na plan pierwszy wybił się kol. Olszewski, który głosem swym podbił serca licznie zebranej publiczności. Z zadowoleniem należy zaznaczyć, że organizacja koncertu była nader solidna. **W. S.**

— Wystawa obrony przeciwgazowej.

W dniach od 7 do 13 kwietnia włącznie została urządzona w salach szkolnych G. P. T. przy ul. Kościuszki 19-a przez koła L. O. P. P. przy II Gimn. Państw. i przy Gimn. Związkokwem wystawa obrony przeciwgazowej. Eksponaty, nadzwyczaj liczne i ciekawe, zostały pomieszczone w dwóch salach. Eksponaty te ilustrowały walkę z gazami i obronę przed niemi. Większe grupy, zwiedzające wystawę, miały moż-



Kupże binokle, zgrabny chłopaku,
Byś widział ludzi, mknąc po „deptaku“,
Trzymaj się prosto, bo mówię mości,
Będziesz garbatym w późnej starości.

ność ujrzenia ok. 50 przezroczy o obronie przed gazami i znalezienia się, po włożeniu maski, w komorze, w której znajdował się gaz drażniący. Podobna wystawa po raz pierwszy w naszem mieście została urządzona przez uczniów, mimo to jednak nie spotkała się z należytem zrozumineiem, gdyż, jaksię dowiadujemy, zwiedziło ją zaledwie ok. 300 osób.

Czyżby strach przed znajdującemi się na wystawie gazami, powstrzymywał młodzież przed jej zwiedzeniem? Zapewne nie liczyli się z tem urządzający wystawę.

— Wieczór wokalno-muzyczny G.P.T.

W sali I Gimn. Państw. dn. 28 marca r. b. staraniem patronatu kl. 7-b i Samopomocy Uczniowskiej przy G. P. T. a przy współudziale najwybitniejszych muzycznych i śpiewaczych sił miejscowych został urządzony wieczór wokalno-muzyczny, który obejmował: koncert orkiestry szkolnej, występy solistów i krótką sztukę sceniczną.

O walorach i jakości orkiestry symfonicznej II Gimn. Państw. nie trzeba chyba pisać. Występ obecny utrwalił jedynie wśród słuchaczy już poprzednio nabyte mniemanie o jej doskonałości. P. Leszczyński, tenor, przy akompanjamencie p. J. Błasikówny, odśpiewał „Tęsknotę“ Różyckiego, arję z opery „Zaza“, a na bis pieśń „Śpiewaj“, zaś p. J. Bursik przy akompanjamencie p. W. Jełowieckiego wykonał solo na skrzypcach „Il. Trovatore“ Sarosate'go i mazurka Chopina.

Szczery, a zdrowy, jakkolwiek polegając, na perypatjach z katarem i kaloszami, humor komedyjki Fredry p. t.: „Kalosze“ niecił śmiech na sali, a wychodzący z gwarem i śmiechem widzowie nadzwyczaj skrupulatnie oglądali w szatni swoje kalosze i śniegowce, aby uniknąć dopiero co oglądanych na scenie nieporozumień.

— Pogadanki o „wyborze zawodu“.

Niedawno pisaliśmy o pracy Komitetu Rodzicielskiego przy G. P. T. dla młodzieży szkolnej, a już obecnie owa młodzież, i to nietylko II Gimn. Państw. ale i innych miejscowych gimnazjów ma możność przekonania się, że ta zbawienna praca coraz bardziej wzmaga się i rozszerza. Oto staraniem Kom. Rodz. przy II Gimn. Państw. w salach szkolnych przy ul. Kościuszki 19-a odbywają się dla młodzieży klas VI, VII i VIII odczyty — pogadanki, wygłaszane przez siły fachowe na temat „O wyborze zawodu“.

Pierwszy z cyklu odczytów, na temat „O zawodzie prawnika“, wygłosił p. mec. Niżyński z Warszawy. Prelegent w słowach prostych, a przejmujących do głębi, przedstawił blaski i nędze życia prawnika i drogę po której dochodzi się do tego zawodu.

P. dr. Borkowski w drugiej pogadance „O zawodzie lekarza“, opisał studja na wydziale medycznym uniwersytetów i dalsze zadania lekarza w stosunku do cierpiących.

Odczyty takie mają olbrzymie znaczenie specjalnie dla maturzysty, gdyż pozwalają mu zdecydować się i znaleźć właściwą drogę odpowiadającą jego as-



Mamy przed nią respekt wielki,
Bo pisuje nam nowelki.



Piękna, acz nieco za późno umieszczona pisanka wielkanocna.

piracjom i ideałom. Szkoda jednak niepowetowana, że nie zgromadziły one dotychczas większej ilości naszych abiturjentów, jakkolwiek wstęp na owe odczyty jest bezpłatny. Wierzymy, że w przyszłości zmieni się ten stan na lepszy, i że skromne progi II Gimn. Państw. bodaj niebędą mogły pomieścić gremjalnie przybywających. Dotychczas na sali, oprócz gospodarzy znajdowali się nieliczni „delegaci" I Gimn. Państw. i Gimn. Związkowego.

Jak się dowiadujemy, już dn. 7 wzgl. 8 maja Komandor p. S. Kański, Inspektor Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, wygłosi odczyt, ilustrowany odpowiedniemi przezroczami, p. t. „O zawodzie marynarza".

Zagadnienia, związane z morzem i Pomorzem naszem, są obecnie tak aktualne, a jednocześnie tak palące, że napewno przyjdą na odczyt nie tylko ci, którzy w przyszłości mają zamiar wstąpić do marynarki wojennej, bądź handlowej, ale wszyscy uczniowie klas wyższych, od których wszak w przyszłości zależeć będzie istnienie i rozwój naszego „okna na szeroki świat", jakiem jest morze.

WITAJ WIOSNO.

Witaj Wiosno uśmiechnięta w pełni kras,
Z słońcem razem, nie znasz przeszkód, żadnych tam,
Twoje przyjście to najsłodszy w roku czas,
Dzisiaj witaj nam.
Dziś czekamy blasków, woni u twych bram.
W woni, w świetle opleciona wiecznie żyj,
Dzisiaj witaj rozegrana — łzy, ból złam,
Życiem wszędzie lśnij.

Tam gdzie płynie słodki zapach, życie wij,
Tam gdzie wiatr oszusza pola, zieleń rzuć,
Wszystkim w oczy siłą życia, zdrowia, bij,
Ból i gorycz skróć.

Czarodziejską krasną szatę polom wróć,
Rozbudź w borze pieśń miłosnych przysiąg łkań,
Pozwól tu żyjącym nić o szczęściu snuć,
W walce o piękno stań.

Hymn pochwalny niechaj nuci każda krtań
Na cześć twoją Wiosno, budzicielko bzów
I słowik wśród szeptów i gorących łkań,
Gdy powróci znów.

Więc witaj nam Wiosno, boś ziszczenie snów,
Bo nam przynosisz upragnione wonie,
Dla wytęsknionych serc i strudzonych głów,
— Dla serc niesiesz balsam, a chłód na skronie.

„Ewu" G. Z. S. K.

NIE PŁACZ NIE WARTO!..

Chociaż ci kwiaty twych marzeń opadną,
I życie będzie dla cię czarną kartą,
Chociaż cię ludzie z złudzeń twych okradną
Nie płacz, nie warto....

W walce tej broń się, lecz jeśliś pobity
Cofnij się w ustroń jakąś cichą, martwą.
I dumaj, patrząc w szafir srebrem lity,
Nie płacz, nie warto....

Marzenia twoje mogłyby ci tylko
Przynieść gorycze i przepaść otwartą,
A twe złudzenia są króciutką chwilką
Nie płacz, nie warto....

E. Szczepański S. R. P.

MUZOM A SOBIE.

Dziwnie się jakoś składa ,że właśnie w rekolekcyjnym czasie W. Postu doszedłem do wniosku, nie bez pomocy moich drogich kolegów (ja, ileż wam winieniem ,usłużni koledzy), żem popełnił przewinienie, i obecnie czynię mocne postanawienie poprawy. Grzech mój był publicznym, gdyż można go było ujrzeć w poprzednim numerze „Świata Szk.“, publiczna teraz odbywa się przeto pokuta. Miał on około 100 wierszy petitowego druku, lecz jak dotychczas, nie zdołałem uchwycić jego istoty. Jedni z tych, którzy raczyli oceniać wielkość mego przestąpienia, twierdzą, że godzi ono w moralną stronę naszej młodzieży, ale czyż w istocie było to tak wielkie przewinienie? Wogóle, czy będzie to czyn niestosowny w porównaniu chociażby, no chociażby z występami „baletu“ uczenic jednej ze szkół na jednym z koncertów? Uczenice i balet! i to balet taki, że non plus ultra. Przed niedawnym czasem młodzież nie mogła chodzić do kina z powodu baletów na scenach; dziś?... ta sama młodzież występuje z baletem a inna grupa tej samej młodzieży z satysfakcją przygląda się malowniczym i wielce oryginalnym scenom, rozgrywającym na szkolnej estradzie. Żeby nie popaść w stare błędy, nie będę opisywał tych malowniczych widoków; wówczas bowiem z o wiele większą prawdziwością mógłbym być obwiniony o niemoralność.

Powiedzą niektórzy, że jest różnica między sztuką, a „powrotem do natury“ (przepraszam za zwrot) ale tę różnicę mieliśmy możność zauważyć na wymienionym już koncercie: różnicę między tańcem klasycznym „Konie Febusa“ lub pantominą: „Pierrot i Colombiny“ a baletem. Tempora mutantur, a my musimy wędrować za postępu falą. Widocznie chęć samowystarczalności skłoniła „nasze“ uczenice do występów w balecie. Pewnie, pewnie, jak samowystarczalność, to na każdem polu.

Powracając więc do tematu, stwierdzam, że kilka, być może, nieodpowiednich słów, zadecydowało, że jest to grzech ciężki. Inni widzieli tutaj tylko chęć dokuczenia komuś, czyn taki kwalifikuje się do rzędu grzechów pospolitych; ale znalazły się osoby, które, nie widząc tam żadnych złych tendencyj a znajdując szczyptę humoru, działającego orzeźwiająco, zachęcały do popełnienia drugiego takiego uczynku, ofiarowując mi nawet odpowiedni materjał. I przyznam się, że szczerze mi żal tych zawiedzionych. Cóż jednak robić? Do doskonałości dochodzi się przez odmawianie sobie drobnych przyjemności i przez zwycięstwo nad naszą zepsutą naturą.

Ale wierzę, że „moraliści“ pragnąc potomności wykazać, że droga powrotna jest dla wszystkich i zawsze możliwa, mnie będą podawali, jako przykład.

Jeżeli jednak, już od dzisiejszego numeru poczynając, nie znajdą tutaj czytelnicy, perlistego humoru, ja za to odpowiedzialności nie biorę, przeciwnie, przechodzę do oskarżenia i czynię owych „moralistów“ winnymi zabicia pięknego talentu, który już od początku zdradzał wiele, wiele zdolności, a przyszłości byłby z pewnością luminarzem, ozdobą etc. etc.

Przyrzekam więc szczerze i z głębi serca (gdzie, jak wiadomo, umieszczona jest pompa ssąco-tłocząca) poprawę. Od dzisiaj styl mój będzie b. wyśmienity, b. szlachetny, b. wspaniały i b. dystyngowany (nie wiem tylko, czym dobrze napisał ten wyraz) specjalnie zaś ninie, dlatego, że za cel mego pióra obieram sobie osobę b. wyśmienitą, b. szlachetna (i szlachecką), b. wspaniałą i b. dystyngwowaną (teraz może lepiej napisałem). Mam zamiar namalować na zwykłej kartce papieru, wyrwanej z zeszytu, a nie na bristolu ,płótnie, dykcie, czy innym rajsbrecie i najprostszą, 10 gr. kosztującą obsadką, a nie olejem, akwarelą, akwafortą, gwaszem, węglem, czy pastelami, osobę ,która sama zapamiętale maluje, a którą natychmiast poznacie, gdy przeczytacie trzy krótkie słowa; jest to: uczeń bez z.

Co? telefon do do mnie? Hallo, mówi się, Tak, Co? ależ, to tak, jakbyście złamali mi stalówkę, i wyleli atrament. O czemże więc będę pisał w takim razie, do djabła? Co, o djable. Już mnie Makuszyński uprzedził. Ha, się mówi trudno, zgoda.. Dowidzenia.

Proszę sobie wyobrazić, co za nieszczęście. Redaktor w tej chwili uroczyście zabronił mi pisać o kimkolwiek z uczniów, lub uczenic. Przecież o profesorach pisać też nie mogę, sami to rozumiecie. Więc koniec.

Złamane mam skrzydła u samej nasady,
I lot mój skończony, me gwiazdy pobladły
Mój Pegaz trójnogi padł martwy wśród drogi
A mnie połamano ręce, kark i nogi,

i jak widzicie z rozpaczy zaczynam popełniać wiersze (i to jakie, pożal się Boże).

Więc tak! Jeżeli zabroniono mi przebywać między młodzieżą, do was, o Muzy, przeniosę się, a to z dwóch powodów: po pierwsze, że ja-

ko „niemoralnego" ,nie przyjęto by mnie bodaj do raju, a po drugie, że pragnę u którejś z tych wiekowych dam wziąć kilka lekcyj pisania wierszy.

Witajcie! O drogie! Złe losy do was mnie zagnały. Czyż się nie mylę, czyż to ty jesteś, nam młodzieży, tak bliska i droga. Ty, która daje dwugodzinne (niekiedy cztero, lub sześcio — w zależności od ilości przesiedzianych seansów) zapomnienie i rozkosz, a jednocześnie wyciągasz z kieszeni żądnych zabaw po 80 gr. tłumacząc się tem, że z powodu ogólnego kryzysu, bezrobocia i innych nędz, trapiących ludzkość, ceny miejsc wyjątkowo zniżone Ależ, naturalnie, że to ty X Muzo, w jednej ręce trzymasz aparat projekcyjny (jak na biletach do Odeonu), a w drugiej album z gwiazdami i gwiazdorami srebnego ekranu. Pozwól mi, o Boska spojrzeć, a może tam ujrzę Sawana i Sawan... prawda, o uczenicach pisać nie wolno. Najnowocześniej wyglądasz w gronie swych towarzyszek, bo doniedawna byłaś niemą i tylko muza muzy-ki mówiła za ciebie, niczem na chrzcie. A rzeknę ci na ucho, że, obok muzy tańca ciebie najbardziej dzisiejsza młodzież kocha. Dla niej przeto zaryzykuję mały wywiadzik, zgóry przepraszając za przerywanie natchnienia. „Zrobiwszy więc lekki dyg w jej stronę i powiedziawszy parę komplementów na konto" (Plagjat — powiecie, „zerżnął" to zdanie z Ziółka, ale wiedzcie, że plagjat ubrany w cudzysłów nie jest ściąganiem), zwracam się przeto do X muzy:

— Jak pani się zapatruje na modne dzisiaj filmy dźwiękowe, śpiewne i mówione?

— Oh, zdaje mi się, że wy stanowczo przeceniacie doniosłość tego wynalazku Wszak gramofon znany już jest wszystkim od kilkunastu z górą lat, film niemy także, i nikt od wielu już lat nie dziwił się, gdy usłyszał grający patefon, lub gdy patrzył na film niemy. Aż tu nagle w jednem miejscu i w tym samym czasie ujrzano film niemy i usłyszano grający patefon i poczęto czynić wiele krzyku.

— Tak ma pani zupełną słuszność. Przypomina mi się, że ja oglądałem film dźwiękowy wtedy, gdy ogółowi nawet się o nim nie śniło, a jak to było, opowiem:

Gdy spędzałem przed wielu laty wakacje w małej, zapadłej wiosce, przybyli tam dwaj przedsiębiorcy, którzy wywiesili ręcznie malowane afisze, obwieszczające o „przedstawieniu kinomategraficznem". Zaciekawiony, przeszedłem na owo wyświetlane arcydzieło. I tutaj po raz pierwszy usłyszałem i ujrzałem coś, co uderzająco przypominało niektóre dzisiejsze talkies'y. Przedsiębiorcy przywieźli ze sobą mały, walizkowy patefon i kilka płyt, które „puszczali" w czasie wyświetlania filmu. Niewiele różnił się on od niektórych dzisiejszych, rewelacyjnych dźwiękowców. Jeszcze pół biedy, gdy dźwięki zgadzają się z obrazem, ale gdy dzieje się tak, że na filmie bohater porusza ustami, a my słyszymy szczekanie, a potem...

— O, — przerwała mi pani Muza, — ludzie są zanadto kapryśni; dotychczas widzieli napis, widzieli potem aktora, mówiącego do aktorki słowa: np. „Mów do mnie jeszcze", a jednocześnie w uszy ich wpadały dźwięki skrzypiec i pianina, zgodnie zawodzących: Um-tarara — Ojra — Ojra, i czuli się zadowoleni i szczęśliwi. Wogóle: za dużo krzyku z powodu małej zmiany głosu skrzypiec na głos urywany jakiegoś instrumentu jazz-bandowego, podobny do szczekania.

I odeszła owa najmłodsza z Muz, która niedawno powiedziała samodzielnie pierwsze słowa. Miałem ją spytać, dla zaspokojenia ciekawości Czytelniczek, czy zakochała się w Ramonie ale ona odstąpiła odemnie zamyślona, wpadłszy zapewne na pomysł jakiegoś nowego trick'a i nie zaszczyciła mnie nawet pożegnalnem spojrzeniem. (c. d. n.)

Fizol.

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Rozwiązań szarad z poprzedniego numeru nadesłano ogółem 11 z czego dobrych 2.

Drogą losowania I nagrodę otrzymuje kol. Słotwiński G. P. H. S., II—koleżanka „Szarada" Nauka i Praca.

ROZWIĄZANIA.

Logogryf: **„Pięciolecie „Świata Szkolnego".**
Sylabówka: **Ferje Wielkanocne.**
Szarada: **Jubileusz „Świata Szkolnego".**

W niniejszym numerze nie mogliśmy umieścić szarad, przeznaczonych do rozwiązania, gdyż nie otrzymaliśmy żadnych odpowiednich prac

— Czy wiesz Zdzisiu, co to jest autoportret?

— Wiem, wiem, jak malarz zrobi portret samochodowi, to wtedy jest auto-portret.

SKŁADAJCIE OFIARY NA „BANK MŁODZIEŻY".

Pojedynek łańcuchowy na „Bank Młodzieży".

Kol. S. Zalewski, wpłacając zł. 3.— wzywa Kol. Kol.:

Gizińskiego M., G. P. T.,
Pleskaczyńskiego, G. P. T.,
Łempickiego A., G. P. T.,
Grzywińskiego Z., G. P. T.

Kol. L. Strzelecki, wpłacając zł. 3.— wzywa Kol. Kol.:

Jełowickiego L., G. P. T.,
Szczęsnego, G. P. H. S.,
Kossa S., G. P. T.

Kol. Ziółek nadesłał artykuł p. t.: W sprawie „Banku Młodzieży", którego z braku miejsca nie umieszczamy.

CO CZYTAĆ?

Dziwi mię trochę taka obojętność kolegów(żanek) w dziale: „Co czytać?", w stosunku do dzieł starych, nawet mało dzisiaj dla nas znanych, a zasługujących na zwrócenie uwagi w ich kierunku. Niedawno miałem okazję przeczytania „Poganki" Gabryeli (Narcyzy Żmichowskiej) starej książki, bo napisanej w roku 1845, ale która powinna być dla nas wiecznie „nowa". Nie będę tego utworu specjalnie streszczał, ale podam tegoż cechy, najbardziej charakterystyczne i najwięcej (tak przypuszczam) zachęcające do przeczytania samej powieści. Przedewszystkiem co uderza mnie mile w tym utworze — to doskonała budowa samego dzieła, kontrasty wprost artystyczne, tajemniczość (nie do przesady) i sam styl. „Poganka" jest utworem pomyślanym, jako całość w sobie zamknięta i doskonale wycieniowana. Dzieła, które grzeszą przeciw tej zasadzie możemy łatwo poznać po dobrym początku a bylejakiem a bodaj i lichem zakończeniu. Tymczasem „Poganka" ma wspaniały szkielet kompozycji. — Przyrównać ją można do codziennej drogi słońca; od różowego świtu przez blask i żar południa, aż do purpury zachodu i ostatnich gasnących fioletów. Benjamin (bohater utworu) ucieka z cichego domu rodzinnego, aby po burzach życia i miłości wrócić do niego niby łódź z zerwanemi żaglami i strzaskanym sterem wracająca do przystani, z której niegdyś wypłynęła na morze. Czytając ostatnie karty tej powieści, rozumiemy, że sprawa jest skończona, że temat został do dna wyczerpany. Kontrast artystyczny widzimy już w „Pogance" w zestwieniu dwóch światów „chrześcijańskiego" z „pogańskim". Z jednej strony cichy dom rodzinny na wsi polskiej, gdzieś w górach... domek „chrześcijański" — z drugiej pałac „poganki" Aspazji, rzęsiście oświetlony, pełen przepychu, w nim huczny bal, kostjumy, muzyka i lekkie ironiczne rozmowy. Kontrast również widzimy w ugrupowaniu charakterów: niespokojny, natchniony Cyprjan — rodzina łagodna i cicha; szczery i namiętny charakter Benjamina — artystka życia (poniekąd komedjantka) Aspazja. Tajemniczość w „Pogance" polega na tem, że autorka pokazawszy nam zbliska tylko bohatera, bohaterkę intrygującą zasłoną niedomówień umyślnie otacza. Nie wiemy jaki jest związek pomiędzy obrazem Cyprjana, a Aspazją poganką; niewiadomem też jest dlaczego Aspazja kona, gdy jej dawny kochanek rzuca obraz w płomienie. Styl „Poganki" oddziaływa na nas silnie. Czasem jedno, krótkie zdanie Gabryeli, wywołuje wyrazisty obraz. Znana to rzecz, że na plastykę stylu wpływają porównania i przenośnie — lecz tych zwrotów Żmichowska używa rzadko. Jeżeli go jednak użyje, będzie on dziwnie świeży a prosty. Nie będzie tam jakiejś nadzwyczajnej oryginalności — niema przeciążenia zużytemi frazesami. Oto: „....Cera zeschła niby jakiś papier zbrudzony..." „...Każdy krok mój cichy jak westchnienie"... „piłem jasność jej źrenicy"... ...od słów twoich tchnienie w piersiach marznie"... „to piosenka całuje oczy i usta..." To wszystko co chciałem napisać o tej książce, a wy teraz koledzy(żanki) dajcie jej miejsce w rzędzie przeczytanych utworów i dopełnijcie reszty...

Tadeusz Zakrzewski, G.P.H.S.

Niezależnie od rozgrywających się wypadków pod Verdun jest omawiana ogólnie jako tło, sytuacja koalicji i akcji na innych jej frontach.

Praca jest ujęta gruntownie i wyczerpująco, pod względem zaś formy niezwykle dostępnie i przejrzyście oraz posiada niezaprzeczone walory literackie. Książka ta, jako wspomnienie o tytanicznych zmaganiach z nawałą niemiecką Bayarda nowoczesnej Francji bezpośrednio i blisko przemawia do każdego Polaka — tchnie dumą z odniesionego zwycięstwa.

Dodać należy, że książkę odznacza staranny przekład.

Nr........ Dział: XIII. A. Powszechna historja wojskowa.

Petain, marszał.

Bitwa pod Verdun. Z 9 fotogr. i 8 szkic. oraz przedmową autora do wydania pol. Przełożył z franc. Eugenjusz Quirini, mjr. dypl.

Warszawa, 1931, Wojsk. Inst. Nauk. Wyd. — Str. XII, 110, 9 ilustr., 8 szkiców.

Nr........ Dział: XIII. A. Powszechna historja wojskowa.

Petain, marszał.

Bitwa pod Verdun. Z 9 fotogr. i 8 szkic. oraz przedmową autora do wydania pol. Przełożył z franc. Eugenjusz Quirini, mjr. dypl.

Warszawa, 1931, Wojsk. Inst. Nauk. Wyd. — Str. XII, 110, 9 ilustr., 8 szkiców.

UWAGA. Pragnąc zachęcić czytelników do tworzenia bibljotek domowych i pragnąc im ułatwić pracę około porządkowania tych księgozbiorów — W. I. N. W. oraz Gł. Księg. Wojsk. będą zaopatrywać wszystkie wydawnictwa swoje w gotowe kartki katalogowe wg. zał. wzoru.

Dla utworzenia więc katalogu należy załączone kartki wyciąć i jedne z nich ułożyć w porządku alfabetycznym, t. j. według nazwisk autorów lub wyrazów uwidocznionych tłustym drukiem, a drugie w porządku działowym, t. j. według liczb rzymskich i oznaczeń uwidocznionych w rubryce „Dział", np. Organizacja, Strategja i t. d. W rubryce „Nr." należy wpisać liczbę porządkową nabycia książki, a więc pierwsza książka nabyta otrzymuje Nr. 1, a dalsze Nr. 3, Nr. i t. d.

Odpowiedzi od Redakcji.

Kol. T. Dąbrowski. Bardzo żałujemy, ale z powodu wcześniejszego otrzymania aż dwu wierszy podobnej treści musieliśmy odrzucić. Za życzenia, zawarte w wierszu, dziękujemy.

Autorce „Wspomnień z wycieczki w Góry Śto-Krzyskie". Musieliśmy odrzucić, aby uniknąć monotonji, gdyż uprzednio otrzymaliśmy artykuł podobnej treści.

Kol. H. Dankowiczówna G. P. J. S. Mamy zamiar w ogólności zaznajomić czytelników ze współczesnemi kierunkami w literaturze polskiej, a potem dopiero przystąpić do omówienia życia i dzieł poszczególnych poetów. Przypuszczając, że kol. żywo interesuje się nietylko Tuwinem, prosimy o taki artykuł o literaturze współczesnej polskiej.

Kol. S. Ratoń G. P. T. Z powodu otrzymania pracy o podobnym charakterze wcześniej — nie zamieszczamy.

Autorowi „Nieuchwytnej" i „Wieku XX". Gdybyśmy zamieścili którykolwiek z wierszy, spotkalibyśmy się z protestem ogółu.

Kol. „Emmanuel Grandi" G. Ż. Redakcja musi „trwać w obojętności głazie", gdyż sonet, który w zasadzie powinien być arcydziełem formy — mocno szwankuje. Brak rytmu. „Sam na sam z Bogiem" nie nadaje się do druku. Widoczne są w tej pracy silne wpływy pisarzy współczesnych.

Kurator: **Dr. H. Płodowska.** Redaktor odp. **Al. Wiklik.**

Korespondencje i prace nadsyłać pod adresem redaktora A. WIKLIKA, G.P.T. Kościuszki 19-a.

Zakłady graficzne F. D. Wilk...ewskiego w Częstochowie.